



BIULETYN INFORMACYJNY KWARTALNIK

Nr 3 (75) rok 19, Warszawa, lipiec - wrzesień 2002

Redakcja
03-446 Warszawa ul. 11-Listopada 17/19

Zespół redakcyjny: Władysław Filar - redaktor naczelny
 Tadeusz Wołak - redaktor
 Stanisław Biskupski - redaktor

Projekt okładki i odznaki dywizyjnej:
Jerzy Dąbrowski

ISSN 1234-0944

Wydawca:
Światowy Związek
Żołnierzy Armii Krajowej
Okręg Wołyński
27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK
03-446 Warszawa ul. 11-Listopada 17/19

Wydanie publikacji dofinansowane przez Komitet Badań Naukowych

Druk i oprawa:
Zakład Poligrafii ul. Ogrodowa 51 00-873 Warszawa

27 MAJA 2002 ROKU ODDALIŚMY HOŁD ŻOŁNIERZOM „OSNOWY”

Długie 58 lat czekali żołnierze „Osnowy” – formacji łucko – włodzimierskiej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej – na upamiętnienie ich okrutnej klęski, doznanej 27 maja 1944 roku, kiedy to zupełnie niespodziewanie, wbrew wszelkim dobrym obyczajom, nawet wojennym, posypała się na biegnących w kierunku rzeki oddzielającej fronty niemiecki od sowieckiego istna lawina ognia od okopów obydwu wrogów. Wszelkie wcześniejsze – uzgodnienia z dowództwem sowieckim tego odcinka frontu o mających nadejść w tym dniu polskich oddziałach, meldunki patroli, rozmowy droga radiową okazały się niczym. Nadrzeczna łąka, przecięta dwoma szerokimi, (niektórzy utrzymują, że trzema) kanałami odwadniającymi stała się widownią niesamowitych wprost wydarzeń. Poleciały nagle w górę fontanny ziemi, gwałtowny świst pocisków i szrapneli poraził nerwy, rozdzierające krzyki rannych, nawoływania spazmatycznymi głosami, by Sowieci przerwali ogień, bo „swoi idut” – wszystko to zlało się w jeden olbrzymi, nieopisany huk, łoskot, niebotyczny wrzask triumfu zła nad dobrem.

Wkrótce i rzeka zarumieniła się polską krwią i napelniła tonącymi. „Tylko czapki żołnierskie wirowały na powierzchni wody i wolno posuwały się w dół rzeki” – wspominają żołnierze kpt. „Gardy” – Kazimierza Rżaniaka. Zanim odnaleziono umówioną wcześniej kładkę, kolumna „Osnowy” została całkowicie rozbita, zdziesiątkowana. Ludzie ginęli również po drugiej stronie Prypeci od założonych w dniu poprzednim przez czerwonoarmistów min. Tragedia, jakiej nie przeżył dotąd żaden z naszych oddziałów.

„Osnowa” stanowiła jedną z trzech kolumn, na jakie została podzielona 27 Wołyńska Dywizja, okrążona na Polesiu po raz drugi przez przeważające siły niemieckie. Gdy już wszystkie trzy kolumny zdołały przedrzeć się poza linie niemieckich placówek w rejonie lasów szackich i zamierzały, zgodnie z rozkazem, ruszyć za front wschodni, nadszedł rozkaz z KG AK zalecający przejść całością sił polskiej dywizji na Ziemię Lubelską. Oddziały mjr „Żegoty” masze-

rowały i tak w kierunku zachodnim. „Gromadę” mjr „Kowala” – Jana Szatkowskiego zdążono zawrócić w kierunku Bugu. „Osnowa” była już zbyt daleko, by gońcy z rozkazem mogli ją dojsć.

Sześć dni i sześć nocy trwało przedzieranie się wojska kpt. „Gardy” po bagnach i rozlewiskach wodnych wołyńskiego Polesia. Ludzie byli w stanie krańcowego wyczerpania z głodu, bezsenności, w nieustannym zagrożeniu ze strony nieprzyjaciela. Siódmego dnia o świcie kolumna dotarła do linii nieprzyjacielskich okopów, rozciągających się na skraju lasu wzdłuż rozległych łąk, równoległe do rzeki. Niemcy, zaskoczeni nagłym pojawieniem się tuż za plecami nieznanymi uzbrojonych oddziałów, rozbiegli się na obie strony w las. Droga do rzeki była wolna. Jeszcze tylko pozostały do sforsowania zwoje drutów kolczastych i rzeka, a za nią okopy sowieckie, mające stanowić wybawienie, ratunek, skąd po wypoczynku i regeneracji sił – mieli nasi rozpocząć dalszą walkę z niemieckim najeźdźcą.

I wtedy właśnie się zaczęło. Karabiny maszynowe, działa, moździerze rzuciły na łąkę z nielicznymi tylko krzewami i wypełnioną zdezorientowanym i przerażonym grozą sytuacją żołnierskim tłumem morze ognia. Kule karabinowe, odłamki pocisków raziły z każdej strony. Rozrywały ludzi na strzępy, zadawały ciężkie rany, powodowały spustoszenie w rozsypanej na łące kolumnie. Nie było najmniejszej szansy obrony ani schronienia się gdziekolwiek w bezpiecznym miejscu. Kto wpadł do kanału i nie potrafił się z niego wydobyć, tam znajdował nadzieję ocalenia. Młodzi ludzie rzucali się w wir wody, biegli wzdłuż brzegu lub padali na ziemię i leżeli nieruchomo, czekając, co nastąpi. Gdy wreszcie przypadkowo odkryto kładkę w odległości 1000 do 1500 m w lewo od wyjścia z lasu, ocaleni żołnierze rzucili się w tamtym kierunku. Kto nie zginął na łące, nie utonął w Prypeci, śpieszył teraz ku zbawczej kładce. Lecz i kładka była gęsto ostrzeliwana tam więc również wielu zginęło lub odniosło rany. Z 750 osobowej kolumny ocalało niewiele ponad 300 ludzi, taką bowiem liczbę ludzi „Osnowy” spisał na rozkaz dowództwa jeden z żołnierzy nazwiskiem Poncyliusz. Około 120 było rannych, reszta poległa, utonąła lub została uznana za zaginionych. Liczby te, ustalone przez autora w rozmowach z uczestnikami przeprawy, zaakceptował bez protestu dowódca 1/23 pp Śp mjr Zygmunt

Górka – Grabowski, jednocześnie zastępca kpt. „Gardy”. Wszyscy ocaleli zostali przewiezieni do Żabek k. Kiwerc, skąd po pewnym czasie znaleźli się w armii gen. Zygmunta Berlinga.

I tam przeszli niemało. Wprawdzie wielu dosłużyło się wysokich stopni oficerskich, odznaczeń, ale wielu nie wróciło z pamiętnego Wału Pomorskiego, z walk nad Odrą i na przedmieściach Berlina. Wielu do dziś nosi ciężkie blizny po odniesionych ranach zarówno nad Prypecią, jak i w drodze do Berlina. Za to wszystko należą się im słowa najwyższego uznania i szacunku. Krzyż – Pomnik nad Prypecią jest tego skromnym tylko wyrazem.

Ow znak hołdu i uznania mógł stanąć na pamiętnym pobojowisku i zarazem cmentarzu poległych już w 1996 roku, lecz niefortunny zbieg okoliczności sprawił, że trzeba było czekać na tę chwilę jeszcze długich sześć lat. Ale w końcu bohaterscy żołnierze „Osnowy” doczekali się widomego znaku czci oddanej swoim poległym kolegom. Uroczystość poświęcenia pamiątkowego Krzyża odbyła się dokładnie w 58 rocznicę tragicznego wydarzenia 27 maja 2002 roku i wypadła wyjątkowo podniosłe. Zashuga to przede wszystkim Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, która udzieliła funduszy na realizację owego niezwykle ważnego przedsięwzięcia. Budowę Krzyża zajęło się i doprowadziło rzecz do szczęśliwego końca Środowisko Lubelskie naszej Dywizji. Poświęcenia Krzyża dokonał ks. Franciszek Ostrowski z Lublina, rodem z Wołynia, który także odprawił u stóp Krzyża – Pomnika Mszę św. Homilie w języku polskim i ukraińskim wygłosił ks. kan. Zbigniew Staszkiewicz, kapelan Lubelskiego Środowiska. Nad całą organizacją uroczystości czuwał niezmordowany O.Zygmunt, proboszcz parafii kowelskiej, od pierwszych dni współuczestnik naszych starań i zabiegów o budowę Krzyża – Pomnika. Wszystkim Im składamy tą drogą serdeczne i gorące podziękowania.

Takież słowa podziękowań należą się władzom miasta Ratna, które z wielką życzliwością, iście po bratersku odnosiły się od początku do naszych planów i propozycji i do końca wspomagały nas radą i pomocą, szczególnie przy końcowych pracach i przy organizacji samej uroczystości, szczególnie przy transporcie przybyłych z Polski na miejsce upamiętnienia uczestników święta. Był to piękny gest ze strony Burmistrza Miasta, jego Zastępcy i pozostałych osób Zarządu.

Wzruszający przebieg miała sama uroczystość poświęcenia Monumentu. Ciepło, serdeczność, wzajemne zrozumienie połączyło przybyłych nad Prypeć i Polaków, i Ukraińców w bliskie sobie braterskie koło. Rzadko obserwuje się w twarzach uczestników tego rodzaju święta podobną do tamtej powagę, zadumę, całkowite włączenie się w odprowadzane nabożeństwo, wsłuchiwanie się w słowa homilii. W wielu oczach zabłyśły łzy. Ścisnęły się krtań byłych żołnierzy kpt. „Gardy”, ale i pozostali weterani 27 Wołyńskiej Dywizji oraz osoby cywilne, nie wyłączając staruszek – Ukrainek z okolicznych wsi, wydobywały chusteczki i dyskretnie ocierały „wilgoć” spod powiek.

Gdy ksiądz z kropidłem wszedł na wysokie schodki, by dokonać aktu poświęcenia Krzyża, wśród zgromadzonych zaległa głęboka cisza, po czym wystąpił batiuszka z niedalekiej cerkwi wraz ze swym chórem i włączył się do uroczystego poświęcenia Krzyża zgodnie z rytuałem obrządku prawosławnego.

Po zakończeniu Eucharystii nastąpiło składanie kwiatów i wieńców u stóp Krzyża – Pomnika. Szły delegacje 27 Wołyńskiej Dywizji, składali wieńce przedstawiciele „Osnowy”, wieniec od Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa złożył Wiceprzewodniczący Rady P. Mikke, a potem długim rzędem wchodziły na Kurhan reprezentacje miejscowych władz państwowych i samorządowych, szkół i organizacji. W krótkim czasie cała przestrzeń pod Krzyżem wypełniła się kwiatami i płonącymi zniczami. A składaniu wieńców towarzyszył piękny śpiew chórów z Równego i z Żytomierza. Płynęły w nadprypecką dal melodie pieśni religijnych, patriotycznych, jakby chciały przemówić do tych, którzy spoczywają tu od 58 lat i dziś dopiero doczekali się należnego im hołdu.

Duże wrażenie wywarły na przybyłych wystąpienia żołnierzy „Osnowy”, którym dane było przeżyć nadprypecki dramat. Głębokie wzruszenie czuje się w słowach wypowiedzianych przez Rysia Sienickiego, Jasia Wereszczyńskiego czy Leona Parysiewicza, gdy żegnają śpiących tu w niewidocznych mogiłach poległych towarzyszy broni.

Pamięć o naszych dzielnych Kolegach, poległych niewinnie i rannych oraz żyjących świadkach tragedii pozostanie zamknięta w Krzyżu – Pomniku i napisie informacyjnym u stóp Pomnika. Niech

trwa i przenosi wiedzę o minionych tragicznych zdarzeniach także przyszłym pokoleniom.

* * *

WYSTĄPIENIE WICEPRZEWODNICZĄCEGO RADY OCHRONY WALK I MĘCZEŃSTWA STANISŁAWA MIKKE PODCZAS UROCZYSTOŚCI W DNIU 27.05.2002 r.

Stajemy dziś przed krzyżem, nad symboliczną mogiłą Żołnierzy tej „sławnej wołyńskiej”, którzy tu polegli przed 58 laty. Przybyliśmy tu z wolnej, niepodległej Rzeczypospolitej, aby prochom tych najdzielniejszych, które spoczywają na tej ziemi oddać hołd. I powiedzieć, że Ich trud, Ich przelana krew w Ojczyźnie nie została zapomniana.

„Milczenia Ofiar nie sposób nie słyszeć”. Te słowa wypowiedział znany pisarz, Laureat Nagrody Nobla.

To milczenie, również Ich milczenie dobrze, aż do bólu słyszymy w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Stąd gotowość i udział w upamiętnieniu miejsca dramatycznej przeprawy, podczas której poległo tak wielu partyzantów, żołnierzy Armii Krajowej.

Powierzamy to drogie nam miejsce opiece mieszkańców tych ziem, Ukraińcom, którzy tak licznie tu się zgromadzili, wierząc, że będzie otaczane należnym szacunkiem. Bo nasi pobratymcy, tak jak my, doświadczali, że w tej części świata drogi wolności, waszej i naszej, biegną wzdłuż krzyży.

Stawiamy krzyże na rzeczywistych i symbolicznych mogiłach bohaterów, aby spełniać nasz chrześcijański obowiązek.

Ale wznosimy je także ku pamięci. Pamięci obecnych pokoleń, i tych, które po nas przyjdą.

Bo Oni, także żołnierze 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej umierając za Polskę wierzyli, że będziemy pamiętać.

Szanowni Państwo,

Urzeczywistniło się, tak do niedawna, niemożliwe. Żyjemy w wolnym Kraju, w wolnym Państwie. I obowiązkiem naszym, naszych dzieci i wnuków jest zachować pamięć o Tych, którzy o tę wolność walczyli za nią oddali życie i którym ją zawdzięczamy.

Będziemy pamiętać!

* * *

PIELGRZYMKA NAD PRYPEĆ

Przez długie lata (dzisiaj trudno przypomnieć od kiedy) moim pragnieniem było żeby chociaż raz pod koniec mojego życia odwiedzić miejsce tragicznej przeprawy przez Prypeć w dniu 27 maja 1944r. podczas której zginęło około 200 żołnierzy zgrupowania „Osnowy” z 600 żołnierzy którzy doszli do linii frontu.

Nareszcie po 58-miu latach, dzięki nieocenionemu Koledze Leonowi Karłowiczowi oraz Środowisku Lubelskiemu nadeszła upragniona możliwość na wyjazd nad Prypeć w celu poświęcenia Krzyża w miejscu przeprawy przez rzekę i front.

Natychmiast zgłosiłem swój udział w uroczystości poświęcenia krzyża i od tego czasu zacząłem liczyć dni do wyjazdu, a wraz z liczeniem dni narastały emocje, powracały przykre wspomnienia tamtych dni, a przy tym zastanawiałem się jakiego pułapu sięgną moje emocje i jak zniesie je mój stary schorowany organizm. I z tymi myślami wyjechałem z domu, a przez całą drogę aż nad Prypeć nurtowała mnie ta myśl.

Przejazd autokarami z Warszawy do Kowla w dniu 26.05.2002 r. przez przejście graniczne Zosin – Uściług i mój rodzinny Uściług odbył się bez specjalnych zakłóceń. Jedynie moje wrażenie i ciekawość podróży narastało z każdym przebyтым kilometrem jazdy, a emocje potęgowały się na myśl co zobaczę i jak zachowam się w miejscu przeprawy.

Oglądając z okien autokaru okolice od Uściługa do Kowla sprawiała na mnie przykre wrażenie. Przypominały tereny stepowe dzikich pól, porośnięte krzakami i chwastami, a zagospodarowane pola przypominały wysepki, na których było widać pracę ludzkich rąk. Z Włodzimierza do Kowla tymi wysepkami są cztery miasteczka, a przy drodze między miasteczkami nie ma żadnych zabudowań gospodarczych, jak to było przed wojną.

27.05.2002 r. po wczesnym śniadaniu w sanatorium Kowelskim po godzinie 7-ej wyjechaliśmy trzema autokarami przez Ratno skąd zabrano starostę powiatu, jego zastępcę oraz przybyłego z Warszawy zastępcę sekretarza generalnego Rady Pamięci Walk i Męczeństwa.

W miejscowości Szczedrogoszcz nad Prypecią mieszkańcy tej wsi zgotowali miłą niespodziankę, witając nas kołaczem i solą, a wręczające dziewczęta były ubrane w stroje ludowe, a przy swojej urodzie wyglądały wspaniale.

Autokary dowiozły nas na koniec wsi dokąd prowadziła utwardzona droga. Natomiast nad Prypeć gdzie stoi krzyż dowoziły trzy „ułazy”, a silniejsi przeszli piechotą około jednego kilometra.

Krzyż ustawiony na czterobocznym kopcu o wysokości trzech metrów robi imponujące wrażenie, a udekorowanie kwiatami, wyłożenie schodów betonowych po bokach tatarakiem nadało temu miejscu swoistego uroku.

Po wyjściu z „ułazu”, dłuższą chwilę stałem w miejscu, rozglądając się by znaleźć znajomy szczegół terenu z tamtego wydarzenia, lecz po 58 latach trudno było dopatrzeć się znajomych szczegółów.

W pamięci odżyła moja droga od lasu i zasieków niemieckich do brzegu rzeki, którą obecnie odgradza wał przeciwpowodziowy, a w zakolu usytuowano kopiec z krzyżem. Według mojej oceny znajduje się on w miejscu gdzie dotarliśmy do rzeki. Zależało mi bardzo na tym by porozmawiać z miejscowymi starymi ludźmi, dlatego przeszedłem kładkę za kopcem bo na wale zauważyłem sporą gromadę ludzi w różnym wieku. Z nimi też nawiązałem rozmowę o wydarzeniach sprzed lat i poprosiłem o opisanie dawnego terenu, gdzie jest zakręt rzeki, gdzie i w którym miejscu były trzy kanały wpadające do rzeki.

Od starej kobiety usłyszałem, że były one oddalone od obecnego wału ponad 50 metrów, a obecnie są zasypane, natomiast kładka na zakręcie rzeki była oddalona od wału ponad kilometr, zaś dawna łąka na której rozegrała się tragedia żołnierzy „Osnowy” obecnie porośnięta jest wysokimi trzcinami. Dawne brzegi rzeki były niskie o wysokości 40-60 centymetrów, obecnie splantowano je ukośnie do samej wody.

Inni starsi mieszkańcy potwierdzili opowiadanie starej kobiety oraz opowiadali, że łąka po stronie niemieckiej nie była zaminowana, a miny były tylko po stronie sowieckiej. Dwóch mężczyzn opowiadało, że w latach sześćdziesiątych jako chłopcy kąpać się w Prypeci w miejscu przeprawy, nurkowali i z dna wyciągali karabiny, maszynowe pistolety, pistolety, bagnety, pasy z ładownicami, a co z

tym złomem robili tego nie powiedzieli. Po wykonaniu kilku zdjęć rzeki powróciłem przed krzyż i włączyłem się do udziału w uroczystości słuchając przemówień starosty z Ratna, przedstawiciela Rady Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Leona Karłowicza. Mnie zaskoczył liczny udział miejscowej ludności, około tysiąca osób.

Głęboko przeżyłem przebieg uroczystości poświęcenia krzyża, który będzie upamiętniał potomnym tragedię sprzed 58 laty i będzie brał w opiekę bezimienne mogiły, a pamięć o tym wydarzeniu pozostanie na wieki.

Po skończonej uroczystości, powrót do Kowla odbyłem w zadumie i milczeniu i tak było do przyjazdu do Wrocławia. A gdy emocje opadły organizm mój załamał się i rozchorowałem się, ale już jest dobrze.

* * *



Krzyż – Pomnik symbol pamięci i wdzięczności poległym żołnierzom 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, podczas forsowania rzeki Prypeć na linii frontu, odsłonięty w 58 Rocznicę tego wydarzenia.



Widok ogólny – w tle Krzyż – Pomnik, upamiętniający miejsce przebijania się przez front niemiecko – sowiecki, 27 maja 1944r. oddziałów 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, forsowanie rzeki Prypeć podczas którego zginęło ponad 200 żołnierzy dywizji, jest symbolem Wdzięczności i Pamięci.



Widoczna Tablica umieszczona u podnóża Krzyża – Pomnika w języku polskim i ukraińskim, upamiętniająca – bohaterstwo poległych tam żołnierzy 27 WDP AK.

W SZEREGACH 27 WOŁYŃSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY AK (WSPOMNIENIA)

(Dalszy ciąg wspomnień z B.I. nr 2(74) kwiecień-czerwiec 2002 r.)

20 kwietnia 1944 r. Czwartek.

Cały dzień biwakowaliśmy w jednym miejscu. Awanturowałem się o „Wilka” i dopiero potem zaczęto się nim więcej interesować. Doktor „Butrym” bardzo mi się nie podobał i gdyby to ode mnie zależało, pociągnąłbym go do odpowiedzialności za brak troski o rannych. Wiatrowa siedziała obok Władka i rzewnie płakała, bo nie mogła mu w niczym pomóc, a Władek zdawał sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później zdrowi odejdą, szpital zaś pozostanie i dlatego prosił mnie, bym mu pozostawił rewolwer.

Jasiu, ty wiesz, siły jeszcze mam dość i jak szkop stanie przy mnie, to go gołymi rękoma zaduszę. Ale jak ich będzie paru, to chociaż kilku chciałbym utłuc, nim oni mnie utłuką. Dasz mi Jasiu nagan?

Tak Władziu, dam! Słowo!

Dziękuję ci, Jasiu – i mocno uściskał moją rękę.

Już w południe znany mi był rozkaz o pozostawieniu szpitala, tylko nie wiedziałem godziny odejścia. Było mi bardzo przykro, że musiałem się rozstać z Władkiem, prawdziwym i serdecznym przyjacielem. „Granat” też przeżywał to rozstanie. Przed wieczorem zarządzono przygotowanie do odmarszu. Wolno było zabrać najkończniejsze rzeczy, zbędne pozostawić. Wobec tego pozostawiłem: kurtkę, kubek, zbędną bieliznę i trochę drobiazgów. Plecak pozostał prawie pusty. Nie zastanawiałem się nad tym, czy zrobiłem dobrze, czy może źle. Wykonałem rozkaz.

Przed wieczorem dałem Władowi rewolwer z siedmioma nabojami, ale aby mu nie sprawiać większej przykrości, nie żegnałem się z nim i jeszcze przez jakiś czas rozmawialiśmy spokojnie o wszystkim i o niczym. A zaraz potem, tj. o zmierzchu nastąpił odmarsz.

Nie wiem dlaczego, ale już w nocy przechodziliśmy obok szpitala. Władek usłyszał mój głos i zapytał.

- Jasiu, gdzie wy idziecie?

- Nic, nie Władziu, zaraz wrócimy – beczelnie skłamałem.

Jak się później okazało, było to nasze pożegnanie – na zawsze. Tak, na zawsze, ale o tym w innym miejscu.

Przed dojściem do mostu w Zamłynie dostaliśmy ognia z bunkrów niemieckich. Spowodowało to dużo zamieszania i nie potrzebnego krzyku. Mój Sokół II całkiem stracił głowę. Zgubił pistolet i automat. Potem, po dłuższym czasie, odnalazł automat. Pistolet przepadł, bo była noc.

Po dłuższej walce przy moście, prowadzonej przez inny oddział, ruszamy do ataku, by przejść obok mostu. W tej nierównej walce tracę strzelców: „Wilka”, „Lwa” i „Orla”. Ten ostatni umierał tuż przy mnie i powiedział spokojnie tylko dwa słowa – za Polskę. Ostatecznie opór Niemców został złamany. Jedni przeszli po moście, drudzy przez Neretwę. Jakaż ta woda była zimna. Świtało. Po drugiej stronie Neretwy zobaczyłem wychodzących Niemców z chałupy. Tym razem strzelałem bardzo celnie i dwoma draniami obciążyłem swoje sumienie. Zamłynie było nasze i droga wolna, ale okupiona krwawo tak z jednej jak i z drugiej strony.

Długo myślałem o zabitych z mego plutonu. Czyżbym był tak bardzo pechowym dowódcą plutonu?

21 kwietnia 1944 r. Piątek.

Za Zamłyniem bagna, a za nimi tor kolejowy z Chełma do Kowla, następny cel naszego marszu. Nie wiedziałem co się stało, ale nigdzie nie widziałem naszych oficerów. Kawaleria dalej jechać nie mogła, bo konie topiły się. Musieli pozostać ranni po ostatniej walce.

Z wielkim trudem posuwaliśmy się dalej, w kierunku Jagodzina. Te bagna dały się nam we znaki. Jeden drugiemu musiał pomagać wyciągać się z bagna. Ten miły spacer trwał około trzech godzin. Dzień był względnie pogodny.

Koło godziny 8.00 byliśmy nie dalej jak 2 kilometry od toru kolejowe. Jakiś plutonowy, na własną odpowiedzialność, poderwał ludzi i zaczął ich prowadzić w stronę toru – zaczęło się. Nadjechał pociąg pancerny i otworzył do nas ogień. Łąka przed torem jak stół, a Niemcy amunicji nie żałują. Znowu świeże trupy i ranni. Rannych los oplakany. Kilka pocisków upadło blisko mnie. Przez chwilę obserwuję sytuację, jaka się wytworzyła po tym bezsensownym zrywie ludzi, którzy mnie słyszą i słuchają wycofałem w krzaki, jakieś

dwieście metrów do tyłu. Mieli tam ukrycie przed obserwacją naziemną i lotniczą. Powoli wycofałem wszystkich ludzi i kazałem zebrać rannych. Ogień z pociągu pancernego ustał. Przyniesiono jedną sanitariuszkę ranną o nie chciałbym więcej wiedzieć takich obrazków. Rannych było więcej.

W czasie cofania się, pod sosenką zauważyłem jakieś zawiniątko. Podniosłem je i z zadowoleniem stwierdziłem, że była to wspaniała słonina i ważyła około półtora kilograma. Jak by mi z nieba spadła. Parę kroków dalej i nowa zdobycz – nowy, ładny pasiak, który zabrałem i używałem jako koc.

Nadszedł por. „Kajo” i wskazał nam drogę, gdzie należało iść. Po jakimś czasie zebraliśmy się w lasku dębowym, wysepce wśród mniejszych bagien, chyba nie większym powierzchnią jak 10 ha. Szczęście dla nas, że ten laszek był bardzo gęsty, a pnienie drzew nie cieńsze jak 18-25 cm. Na wszelki przypadek była to doskonała ochrona przed pociskami karabinowymi.

Nie wiedziałem skąd przyszli nasi oficerowie i zaczęli formować oddziały z tych ludzi, którzy chcieli pozostać i dalej prowadzić walkę z Niemcami. O ile dobrze pamiętam pozostało niewielu, część kawalerzystów, ale już bez koni. Na podstawie dobrze słyszanego warkotu czołgów, byliśmy otoczeni z trzech stron. Można śmiało przyjąć, że Niemcy nie wiedzieli o naszym pobycie w tym lesie i dlatego nie ostrzelali go z czołgów, ale ciągle czuwali i dość często oświetlali teren reflektorami.

Koło godziny 20.00 nastąpił wymarsz do przejścia toru koło Jagodzina. Prowadził jakiś przewodnik z tamtejszych mieszkańców. Poszliśmy. Na początku tej drogi woda i błoto do połowy łydek, miejscami wyżej. Niedaleko toru maszerowaliśmy po ośmiu, a nawet po szesnastu w jednym szeregu po to, by w ten sposób skrócić kolumnę. Niemcy czuwali i w krótkich odstępach czasu oświetlali teren rakietami. Staraliśmy się zachować jak największą ciszę, mimo to na twardszym podłożu słychać było masowy tupot nóg. W świetle reflektora padaliśmy na ziemię. W odległości około półtora kilometra od toru, nagle między nami padł strzał. Pytanie ... Przypadkowy, czy rozmyślny? Odpowiedzi nie ustaliłem do dzisiaj. Może była między nami wtyczka niemiecka? Od chwili tego wystrzału uszliśmy nie

więcej jak 200 metrów i zaczął się taniec śmierci, bo nagle rzucono kilkadziesiąt rakiet i otworzono do nas ogień. Dochodziła północ.

22 kwietnia 1944 r. Sobota.

- Naprzód! Hurraa!

Pobiegliśmy rowem. Za chwilę jęczeli ranni, padali zabici. Niemcy zaś ani na chwilę nie przestawali strzelać. Zatrzymałem się przy rannym by mu jakoś pomóc, lecz on wstał i powiedział, że dalej pójdzie o własnych siłach. Drugi zęgnął się ze światem mówiąc – Mam dość, zostawcie mnie w spokoju. Od ciągłego biegu brakowało mi tchu w piersiach, a toru nie było.

Na prawo i naprzód! – słyszałem rozkazy. By nie razić swoich, nie mogliśmy strzelać. Biegłem dalej i nagle przewróciłem się. Zawisłem na kolczastym drucie. Głowę i stopy miałem przy ziemi, a kuper w górze. Plecak spadł mi na głowę i nie mogłem się podnieść, a rakiety ciągle oświetlały teren. Widocznie Szwab wziął mnie za cel, bo siedem razy wystrzelił z małokalibrowego działka. Trzy pociski upadły z przodu i bardzo blisko, cztery zaś z boku i nieco dalej. Najbardziej działał na nerwy ten, który lecąc, brzęczał jak bąk. To zapalający. Nie powiem, najadłem się strachu, ale szczęśliwie nie oberwałem. Bóg czuwa nade mną – pomyślałem. Za chwilę jakoś odczepiłem się od drutu, przy pomocy karabinu wstałem i wolnym krokiem ruszyłem za swoimi. Nie miałem siły do biegu. Uspokoilem się i nabrałem pewności, że zdrowszy przejdę tor.

W pewnej chwili, na prawo od siebie, usłyszałem kilkakrotne – hurra! Domyśliłem się, że to nasi dopadli bunkrów i duszą Szwabów. Obejrzałem się. Na tle pogodnego nieba nic nie dostrzegłem, wkoło mnie była pustka, a do walczących około 500 metrów. Nie wiedziałem, gdzie „Granat”, „Cis” i mój pluton. Niemcy podpalili czyjaś stodołę i na dużej przestrzeni zrobiło się widno jak w dzień. Nie zauważyłem, kiedy zebrało się za mną kilku ludzi i rzędem posuwaliśmy się do celu. Znowu wzięli nas za cel i nad naszymi głowami przeleciało kilkadziesiąt „os”. Pocieszałem się tym, że źle celowali, a jednocześnie czułem ogromne zmęczenie.

Walka zaczęła przygasać, nasilenie ognia znacznie zmalało. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i do ramion musiałem się skąpać w małej rzeczce, a może głębokim rowie. Woda lodowata. Szybko wylazłem na wyższy brzeg, a tu przed nami zatrajkotał kaem.

Zamknij tego sukinsyna – usłyszałem za plecami. Byłem na wale. Nad głowami swoich szybko oddałem dwa strzały, celując w ogień kaemu. Zamilkł. Czy go trafiłem? Takiej pewności nie miałem. Poszliśmy dalej i nareszcie zobaczyliśmy tor, a na nim uszkodzony przez naszych pociąg pancerny. Jeszcze mały wysięk i znaleźliśmy się za nasypem kolejowym. Usiadłem na chwilę. Czulem ból w nogach, pić mi się chciało i zimno mnie trzęsło.

Posiedziałem nie dłużej jak trzy minuty, a potem podszedłem do najbliższego mieszkania. Na podwórzu zastałem gospodarza i poprosiłem go o wodę. Podał mi duży kubek wody i powiedział.

- Niech pan pije i ucieka, bo pana zabiją.
- Kto? – zapytałem trochę zdziwiony.
- A no, Niemcy! – odpowiedział.
- Głupstwo! A chleba to nie macie?
- Nie. Bo ci co szli przed panem zabrali.

Zostańcie z Bogiem! Dziękuję za wodę i ruszyłem dalej, choć ledwie nogi stawiałem. Jeszcze raz musiałem wleźć do wody po kolana. Koło mnie zjawił się „Zefir”, tj. Antoni Koter i wystrzelił dwie białe rakiety. Był to umówiony znak – gdzie się mają zbierać ci, którzy przejdą tory. „Zefir” pozostał, by wskazywać drogę, a ja z innymi pomaszerowałem. Zaczęło się rozwidniać. Trochę przyspieszono kroku, by jak najprędzej dotrzeć do nowych lasów. Koło mnie przechodził jakiś żołnierz i zapytał, „panie sierżancie, chce pan chleba? ... Owszem, chleba tak, ale sierżantem to jeszcze nie jestem, ... to pan będzie – i dał mi spory kawałek wspaniałego razowca.

Podziękowałem i sięgnąłem do plecaka po słoninę. Kawałek dałem ofiarodawcy, a drugi z razowcem zjadłem z wielkim apetytem. Od innego żołnierza dowiedziałem się, że ci którzy zaatakowali bunkry, mieli nowe kb, granaty, amunicję, papierosy i nie chcieli nic do jedzenia.

Przede mną, drogą polną, maszerowało ze trzystu partyzantów, za mną, może dwustu. W polu spotkaliśmy kobietę i ona nas ostrzegła, że godzinę temu dziesięć czołgów niemieckich poszło tam – i pokazała ręką. Z tego pokazu wynikało, że my szliśmy w tym samym kierunku. W gołym polu zabawa z czołgami byłaby makabryczna – pomyślałem i natychmiast ostrzeżenie przekazałem wzdłuż kolumny. Przyspieszyliśmy kroku.

Koło godziny 7.00 znaleźliśmy się w małym, gęstym lesie, w odległości, oceniając ją na oko, trzy i pół kilometra od Jagodzina. Wcześniej doszedł tam mój pluton, „Cis”, „Granat” i „Sokół II”. „Granat” był draśnięty w ucho, a Skrzyńskiego nie było. Nie wiedzieliśmy, czy się wrócił, jak wielu innych, czy też został zabity.

Jeszcze wszyscy nie zdążyli dołączyć do swych oddziałów, a już od wschodu zostaliśmy ostrzelani z czołgowych km. Kobieta mówiła prawdę. Dla rozpoznania sytuacji wysłano patrol z sześciu ludzi. Zginęli wszyscy na skraju lasu. Tym razem Szwab celował dobrze. Jedna krótka seria skosiła sześć istot ludzkich.

Idąc rojem, nie uszliśmy jeszcze dwóch kilometrów, gdy ktoś przede mną krzyknął. – Uwaga! Z prawej czołgi!

Faktycznie, z prawej strony, w odległości do 600 metrów stały w polu dwa czołgi, a prócz tego obsługa z km obok na ziemi. Partyzantom skupionym wkoło mnie dałem rozkaz. Rojem, na lewo skos! Zwiększyć odległości i odstępy!

Jeszcze sekunda i ogień. Sypał się na nas grad pocisków. „Granat”, choć nie miał nic, nie chciał mi nieść chlebaka z amunicją. Nawet płaszcz chciał porzucić. Było mi ciężko, bo w plecaku miałem 120 naboji, znaleziony pasiak i koc oraz inne konieczne rzeczy. Kolega zawiódł, a na egoizm trudno o lekarstwo.

Na chwilę musiałem się przytulić do ziemi, bo Niemcy z kilku kaemów prali bez przerwy. Pociski nad głowami syczały i dookoła nas grzęzły w świeżo zoranej ziemi. Wpakowałem się w grząską glebę i ledwo mogłem wyciągać z niej nogi, a o szybkim marszu mowy być nie mogło. Włokąc się powoli, czekałem na swój pocisk. Omijał mnie. Spojrzałem do tyłu i zobaczyłem, że nikt nie leży, nikt nie wzywa pomocy, wszyscy ogromnie zmęczeni ale idą. Moi także.

Z naszej strony odezwał się kaem i stała się dziwna rzecz. Niemcy przestali strzelać i zamiast nas gonić czołgami – wycofali się.

Jasio Homaj ponownie koło torów oberwał w rękę i na równi ze mną ledwo szedł. Wreszcie dobrnęliśmy do lasu. „Alberta” czuła się marnie, zgubiła buty, koc i torbę. „Poziomka” trzymała się dość dobrze, ale małżeństwo „Rosa” byli ogromnie przygnębieni. Prawdę mówiąc, to każdy z nas wyglądał jak z krzyża zdjęty. Po sprawdzeniu stanu osobowego nie mogłem uwierzyć w to, że tylko jeden był za-

bity i dwóch rannych. Na taki ogień i w taką masę ludzi (2000-2500) a przy tym w biały dzień, to chyba cud.

Nigdzie nie widziałem siostrzeńca „Granata”, ani młodego Hanna. Karolek bardzo narzekał – materialista. W tym lesie też nie dano nam długo spokoju i zaczęto nas ostrzeliwać z armat, na ślepo.

Zdjąłem buty. Stapać nie mogłem. Obie nogi miałem otarte, a stopy piekły ogniem. Moczenie w zimnej wodzie przez pół godziny nie wiele pomogło. Rad nierad boso powędrowałem dalej. Po pięciu kilometrach partyzanci radzieccy dali nam obiad – po kawałku chleba i słoniny.

Przed wieczorem zajęliśmy Smolary Rogowe. W plutonie brakowało mi trzech ludzi. Po godzinie zarządono zmianę miejsca zakwaterowania i musieliśmy się przenieść w drugą część wsi. Chłopcy kleli, a ja im pomagałem, bo drewniaki doprowadzały mnie do rozpacz. Nie minęło pół godziny i byliśmy na miejscu. Służba czuwała, reszta poszła spać

23 kwietnia 1944 r. Niedziela.

Rano przenieśliśmy się na futory Zaburzańskie i byliśmy tam na godzinę 11.00. Do Bugu chyba nie dalej jak trzy kilometry. Dzień był pogodny i ciepły. Wielką niespodzianką było to, że na obiad mieliśmy doskonały rosół z ziemniakami i kurę. Kwaterowałem z dowódcą, a oprócz mnie ogn. „Granat”, dwie panny: „Brzózka” i „Alberta”. Przed wieczorem dowódca przyjął jeszcze dwóch Węgrów i jednego strzelca z oddziału „Trzaska”.

O godzinie 16.00 zaciągnąłem placówkę w lesie, poza futorem, w kierunku na Zaburze i pełniłem tam służbę do godziny 20.00. Z mego stanowiska słyszałem podkradające się czołgi, tzn., że czołg posunął się około 30-40 metrów, zatrzymał się i zgasił silnik. Takich fragmentów przerywanego marszu słyszałem kilkanaście. Słuch mnie nie mylił i na to skradanie się, zwróciłem uwagę moim żołnierzom. Po skończonej służbie i powrocie do kwatery, natychmiast zameldowałem dowódcy swoje spostrzeżenia, a dowódca skwitował je powiedzeniem. To tylko tak się panu zdawało.

Od żony naszego gospodarza dowiedziałem się, że kilku z naszych partyzantów przepравиło się na drugą stronę Bugu. Czyżby dezercja? W tej wsi Niemcy byli podczas Wielkanocy, a zamieszkiwali ją Ukraińcy. Ppor. „Sokół” stanowczo za miękki. Jeszcze nigdy

nie pokazał swego – ja – wobec innych dowódców. Także nigdy nie informował mnie i szefa o sytuacji i to uważałem za poważny błąd z jego strony.

Z ulotek, zrzuconych przez samoloty radzieckie, dowiedzieliśmy się o formowaniu polskiej armii w Związku Radzieckim. Nawoływano w nich, by Polacy w armii niemieckiej porzucali broń i przechodzili na stronę radziecką. Jedna tragedia więcej w życiu Polaków. Czy się to skończy i kto się tego końca doczeka?

Rysiu, Haneczko! Czy Was chociaż raz jeszcze zobaczę? Do Ciebie Maryś, mam bardzo wielki żal. Za co? Za to, że z całą brutalnością wyrwałeś z mego serca i zdeptałeś te uczucia, jakie w nim dla Ciebie były. Dlaczego nie mogę wspominać Cię tak, jak inni wspominają swe żony? Ale niech Bóg czuwa nad Wami i strzeże przed nieszczęściem. Jeśli nie zasłużyłem na miano dobrego ojca i męża, chcę pozostać dobrym Polakiem. Czy mi się to uda – czas pokaże. Czas goi rany, może i moją zagoi.

24 kwietnia 1944 r. Poniedziałek.

Spałem doskonale, ale za to znalazłem na sobie świeże wszy. Ta plaga nie ominęła nikogo. Po obiedzie wymoczyłem nogi w gorącej wodzie, a potem położyłem się na krótką drzemkę i nagle usłyszałem. Łup! Łup! – z małego działka po wsi. Wybiegłem na podwórze, krzyknąłem – Alarm! Z powrotem wpadłem do domu i na mokre onuce ledwo wciągnąłem buty. Potem plecak na plecy, karabin do ręki i na drodze obok domu zrobiłem zbiórkę plutonu. Około trzystu metrów od nas wzmogła się strzelanina. Dowódca wysłał gońca po rozkazy. Wczoraj nie uwierzył memu meldunkowi a dzisiaj miał przykry sprawdzian i zaskoczenie.

Goniec wrócił z rozkazem. Mieliśmy wzmocnić placówkę w lesie, na zachód od nas. Dowódca osobiście wyznaczył kpr. „Jawora” z drużyną. Temu ostatniemu coś się nie podobało i zaczął dyskusję z dowódcą. Owszem, miał trochę racji, ale nie powinien tego robić. Dał zły przykład tej zbieraninie, jaka była w naszej kompanii. Poszli! Po upływie ośmiu minut poszedłem za nimi z resztą plutonu.

W lesie panował spokój, a we wsi terkotały kaemy. Ludność cywilna podniosła lament. Kilka budynków płonęło. Widzieliśmy nasze oddziały wycofujące się do lasu, na wschód od wsi. Po kwadransie, z rozkazu dowódcy, opuściliśmy placówkę. Ogólny kierunek

wycofania na południe. Podporucznik tak wyciągał nogi, że w żaden sposób nie mogliśmy za nim nadążyć. Chciał poprowadzić kompanie przez groblę, jaka była w środku wsi, na całej długości odkryta. Aby do tego nie dopuścić zameldowałem. Panie poruczniku! Na tej grobli wystrzelają nas jak kaczki. Radzę wycofanie drogą okrężną, skrajem lasu.

Zgodził się. Przed wieczorem byliśmy wśród innych kompanii. Szkoda mi było dobrego zakwaterowania. Po jakiejś naradzie pomaszerowaliśmy do Smolar – Rogowych i tam kwaterowaliśmy do rana, tj. do dnia 25 kwietnia, „Kaczor” – Tadzio Bebak, trzymał się dobrze. Dołączyło kilku ludzi spod Jagodzina, do mego plutonu trzech.

25, 26, 27, 28 i 29 kwietnia 1944 roku.

Przemarsze. Przez jakie miejscowości – nie miałem pojęcia, bo w dalszym ciągu nikt nas nie informował o sytuacji. W nocy, z 29 na 30 kwietnia, ubezpieczałem przejście naszych oddziałów przez Prypeć. Noc bardzo zimna. Po przejściu ostatniego oddziału na lewy brzeg rzeki, mostek zniszczyliśmy i dołączyliśmy do kompanii, w zachodniej części lasów Szackich.

30 kwietnia 1944 r. Niedziela.

Reorganizacja. Wszyscy ludzie z samodzielnej kompanii ppor. „Sokoła II”, przeszli do pierwszej kompanii „Łuny”, ppor. „Czecha”. Ppor. „Sokół II” został dowódcą drugiej kompanii „Łuny”. Oprócz tego w jej skład weszli: ogn. „Granat” – szefem, plutony „Cis” – gospodarczym, szer. „Zuch” – gońcem, oraz siostra „Alberta” – san. med. St. strzel. „Brzózka” – odeszła do baonu.

Plutony: Dowódcą pierwszego plutonu został plutonowy „Maj”, a jego zastępcą kapral „Czwarty”.

Drużynowi w pierwszym plutonie: pierwsza drużyna – kpr. „Niemiec”, druga drużyna – kpr. „Strzał”, trzecia drużyna – kpr. „Szyja”. Stan plutonu 34 ludzi.

Dowódcą drugiego plutonu – plutonowy „Trzyjot”, zastępcą kpr. „Jawor”, Jan Jaworski.

Drużynowi w drugim plutonie: drużyna czwarta – kpr. Brodzic, drużyna piąta – st. strzel. „Mróz” Lambert Stasiak, drużyna szósta – st. strzel. „Siódmy”. Stan plutonu 33 ludzi.

Przed wieczorem do mego plutonu dołączył szer. „Huss”, tj. Gawdzik z Włodzimierza. Przydzieliłem go do drużyny „Mroza”.

Pluton mój składał się z młodych chłopców, dobrze ze sobą zżytych i to mnie bardzo cieszyło.

Dzień pogodny minał szybko. Przed udaniem się na spoczynek zarządzono wspólną modlitwę i w Lasach Szackich poniosło się echo pieśni - Wszystkie nasze dzienne sprawy ...

Po modlitwie przeniósłem swoje myśli do żony i dzieci. Prosiłem Boga o opiekę nad nimi i pozwolenie mi na zobaczenie ich po skończonej wojnie. A biedny Władzio? Czy jeszcze żyje? Był moim najlepszym druhem i przyjacielem. Jakież to życie bywa twarde, jak wiele w nim się zmienia.

1 maja 1944 r. Poniedziałek.

Rano dowiedziałem się, że od wczoraj dowódca naszego baonu został ppor. „Ćwik”, adiutantem ppor. „Wilk”, a dowódcą trzeciej kompanii – st. sierż. „Samson”.

W kompanii ppor. „Czecha” był brat mego zastępcy, Stanisław Jaworski, ps. „Dzik”. Tam też byli: Wanda, Rezułski, Haber i Homaj.

Gdzieś, daleko od nas i na wschód, słychać było armaty. Również dużo samolotów przelatywało nad nami, tak w jedną jak i drugą stronę. Wieczorem słyszałem silne bombardowanie. Prawdopodobnie miało ono miejsce w Brześciu nad Bugiem. Z wyżywieniem marnie, bo brakuje chleba i ziemniaków, a samo mięso nie smakuje. W dzień zacząłem budować szałas utykany mchem i przed wieczorem, chociaż nie skończony, stanowił dobre miejsce do spania. Jutro skończymy robotę i będę w nim sypiał z „Jaworem”. Podobał mi się drużynowy „Mróz” – jest zdyscyplinowany i greczny. Jego i „Siódmego” podałem do awansu. Nas też podano, tzn. „Granata”, „Cisa”, mnie i jeszcze paru. Dowiedziałem się, że do Zamłynia zostały wysłane dwa patrole, w celu nawiązania łączności z pozostałymi tam oddziałami. Podobno wielu cofnęło się dlatego, że przejście torów pod Jagodzinem uważali za niemożliwe.

Dowiedziałem się również o tym, że oddziały „Żegoty” i „Kowala” przeszły tory bez wystrzału, a nam się dostało i to dobrze. Dlaczego? No właśnie – dlaczego?

Muszę tu wspomnieć o naszym największym utrapieniu – wszach. Nabiłem dzisiaj tego świństwa nie dużo, bo tylko 72 sztuki. Te cholery umieją się maskować i przybierają barwę odzieży.

2 maja 1944 r. Wtorek.

Po marnym śniadaniu zarządzono zbiórkę baonu i marsz do baonu „Zajęca”. Tam nastąpił raport, a po nim, przemówienie majora „Żegoty”, dowódcy dywizji. Zachęcał do dalszego wytrwania i walki z Niemcami. Podkreślił konieczność dyscypliny, bezwzględności posłuszeństwa i obiecywał, jak to „Granat” określił – gruszki na wierzbie. Potem nastąpiło odczytanie rozkazu o awansach i odznaczaniach.

Krzyż Virtuti Militari V klasy otrzymał kapitan „Garda”, a Krzyż Walecznych: ppor. „Piotruś”, podchorąży „Molli”, st. strzel. „Kaczor” i kilku innych. Wśród oficerów i podoficerów mówiło się, o przedwczesnym i tak wysokim odznaczeniu dla kapitana „Gardy”. Zarzucano mu to, że do Bielina przyszedł bez ludzi i do Lasów Szackich też, gdyż szedł z oddziałami majora „Kowala” i nawet boju nie słyszał. Czy naprawdę tak było, nie wiedziałem, nie mogłem nic powiedzieć. Stwierdzić mogę jedynie to, że pod Jagodzinem nie widziałem go między naszymi oddziałami.

Po powrocie do miejsca postoju, prawie cała kompania siedziała przed szalaszami i tłukła wszy. To wstrętne zajęcie było konieczne. Nie mieliśmy żadnych środków chemicznych, do zwalczania tej plagi.

3 maja 1944 r. Środa.

Święto narodowe. Obchodziliśmy je bardzo skromnie. Zbiórka baonu, krótkie przemówienie ppor. „Ćwika”, odczytanie awansów na kaprali i st. strzelców. Na zakończenie odśpiewano Rotę.

W dalszym ciągu do mych uszu dochodziła krytyka kapitana „Gardy”. Z „Granatem” poszliśmy do adiutanta „Jura” i tam dowiedzieliśmy się, że nasze wnioski wpłynęły i posłano je do zatwierdzenia. „Modrzew”, tj. Ksawery Durezyński, też był – nakręcony – na kpt. „Gardę”. Główny zarzut – porzucenie oddziałów pod Zamłyniem i skutki tego. Nie powiem, by mi się podobał ten postępek kapitana i w tym przypadku popierałem krytykujących.

Po powrocie do swego szalasu, czułem się przygnębiony brakiem wiadomości z zewnątrz. „Zefir”, tj. Antoni Koter, nadrabiał miną. Nie mieliśmy się z czego cieszyć.

4 maja 1944 r. Czwartek.

W swoim szalaszu wyspałem się dobrze, bo nie wiało, gdyż mech, jako uszczelka, zdał egzamin na piątkę. „Jawor” też był zadowolony

z zaciśniętego lokum. Od rana słyszeliśmy strzelaninę w lasach. Dowódca baonu zarządził ostre pogotowie. Jak się później dowiedziałem, to Węgrzy napadli na oddziały majora „Kowala”. Nasi, zaskoczeni, podobno stracili 18 zabitych, ale Węgrzy dużo więcej, bo aż 72, plus spalono jedną tankietkę, czy coś w tym rodzaju. Po południu mieliśmy dowody rozgromienia Węgrów, w postaci papierosów i czekolady. Także sporej ilości amunicji. Od jakiegoś partyzanta dostałem kilka papierosów. W lesie to wspaniałe rarytasy.

Na obiad mieliśmy do wyboru: baraninę, cielęcinę i wołowinę, a dostarczył je kpr. „Mróz”. Mięsa dużo, do mięsa nic. Gotowanie odbywało się w wiadrach i menażkach. Trwało to dość długo, nim samym mięsem mogłem zaspokoić głód.

Przed wieczorem „Jawor” napisał wiersz, a ja go dosłownie przepisałem i dołączyłem do, naprędce, sporządzonego dokumentu, stwierdzającego nasz pobyt w Lasach Szackich, walkę z Niemcami oraz nasze nazwiska i pseudonimy.

Dowódca kompanii od dwóch dni przebywał w szpitalu, a zastępował go ogn. „Granat”. Nie zmieniliśmy miejsca postoju.

5 maja 1944 r. Piątek.

Dowódca powrócił ze szpitala i objął dowództwo. Sporządzony wczoraj dokument podpisali: dowódca kompanii, dowódcy plutonów i drużynowi. Potem włożyłem go do butelki, zakorkowałem korkiem z drewna i kazałem wpuścić butelkę w dziuplę dębu, jaki rósł koło naszego miejsca postoju. Dąb potężny, a i dziupla rzadko spotykana – miała ponad dwa metry głębokości. Butelka opuszczana na nitce, stuknęła tuż przy korzeniach.

Podobno wczoraj późnym wieczorem wrócił jeden patrol z Zamłynia i przyprowadził kilkudziesięciu ludzi. Ci ludzie mówili, że po naszym przejściu torów pod Jagodzinem, nabierano przeszło czterdziestu zabitych. Ciężko rannych Niemcy dobili. Ludność koło Jagodzina to przeważnie Polacy, byli bardzo przychylni dla ukrywających się po krzakach, żywili ich i ostrzegali przed ruchami Niemców.

Gdybyśmy z nimi nawiązali łączność, przed wyruszeniem do przejścia torów, to prawdopodobnie byłiby nas przeprowadzili na drugą stronę bez wystrzału. Znowu czyjś błąd. Prowadzeni byliśmy bez rozpoznania, a więc na los szczęścia. Los okazał się nie łaskawy.

Szeregowiec „Żubr” zrobił kilka zdjęć. O godzinie 20.00 nastąpił wymarsz do nowego miejsca postoju. Nad nami niziutko samolot, kukuruźnik, na przymkniętym gazie, pytał, czy mamy dość amunicji. Rakiety. Odleciał.

6 maja 1944 r. Sobota.

Marsz trwał całą noc i dopiero koło godziny 7.00 byliśmy na miejscu. W pierwszym rzędzie drużyny rozpałyły ogniska i zaczęły przygotowywać śniadanie. Przy każdym ognisku musiało być trochę wilgotnej trawy, by można nią było w każdej chwili przygasić ogniska. Las w tym miejscu był dość gęsty, przeważnie sosnowy. Przybyło nam jeszcze jedno utrapienie – komary. Nawiazano łączność z partyzantką radziecką i podobno oni pilnowali wejść do lasu. (?). Z baonu wysłano patrole, w celu znalezienia dróg do wsi. Z wyżywieniem bardzo krucho. Ludzie narzekają. Noc spędzamy pod sosnami – spałem z „Granatem” pod kocem i pasiakiem.

7 maja 1944 r. Niedziela.

Poprawialiśmy wczoraj zbudowane szałas. Były one znacznie gorsze od poprzednich, bo do uszczelnienia brakowało mchu. Gnębiły nas wszy i dlatego znowu musieliśmy je tłuc. W promieniu około 1 kilometra nie zauważyłem ani jednego mrówka. Mrówki byłyby naszym sprzymierzeńcem w tępieniu tego robactwa.

8 maja 1944 r. Poniedziałek.

W pierwszym rzędzie „Dzikowi”, tj. Stanisławowi Jaworskiemu złożyłem życzenia imieninowe. Po śniadaniu zrobiono zbiórkę baonu i na niej odczytano rozkaz o awansach. Z naszej kompanii awansowali: ogn. „Granat” – na st. ogniomistrza, plutony „Cis” – na sierżanta, plutony „Trzyjot” – na ogniomistrza, kapral „Jawor” – na plutonowego¹. Wzajemne gratulacje. Nie cieszyłem się z tego awansu, bo ciągle żyłem w niepewności jutra, nie wiedziałem co się dzieje na zewnątrz. Wszyscy marzyliśmy o tym, by jak najprędzej przejść linie frontu i wyjść z tych lasów. Radiowych wieści też nie mieliśmy. A może oficerowie mieli, lecz ze względu na konieczność zachowania tajemnicy – milczeli.

Przed wieczorem mieliśmy nabożeństwo majowe, odprawione przez ks. kapelana. Na zakończenie zaśpiewaliśmy – Chwalcie łąki

¹ R. dz. nr 21 z dnia 3.05.1944 r. – wyciąg z rozkazu Pożogi nr 5.

umajone. Było mi smutno na duszy i myśli swoje zwróciłem do najbliższych, do dzieci. Czy wy jeszcze żyjecie? Na wszystkich twarzach malował się smutek i przygnębienie. Pocieszałem ich jak mogłem i umiałem. Byli tacy, którzy mieli zamiar wracać do domów. „Granat” i ja, postanowiliśmy wrócić do Włodzimierza tylko wtedy, gdy przez najbliższe dwadzieścia dni sytuacja się nie zmieni. Karolek też był tego samego zdania.

Od 9 do 17 maja 1944 r. Wtorek i następne dni.

Już od kilku dni codziennie mieliśmy o trzy godziny zajęć: musztra, meldowanie, służba wartownicza i służba w polu. Chłopcom nie przypadły te zajęcia do gustu i nie dziwiłem się im. Wymagano od nich sporo, ale w to miejsce nic nie otrzymywali. Mam na myśli zaopatrzenie w żywność. Ciągłe było brak chleba i jarzyn. Dużo partyzantów chorowało na dolegliwości żołądkowe i sporo na szkorbut. Patrole, jakie wychodziły po żywność, nie mogły zdobyć ani cebuli, ani czosnku, mimo że za produkty płacono dolarami, lub rublami w złocie. Tą ostatnią informację miałem od „Cisa”, naszego gospodarczego.

Oprócz tych trudności, dowódca dywizji zabronił starania się o żywność pojedynczym oddziałom. Sołtysów uprzedził, by nie wydawali bez jego zezwolenia. Tyczyło to Huty – Ratnieńskiej, Otdalejki i jeszcze paru wiosek. Z dowódcą partyzantki radzieckiej uzgodniono, które wsie i kogo będą zaopatrywały. Kwatermistrzostwo wysłano po prowiant.

Nie pamiętam daty, ale chyba 10 maja dotarła do nas wiadomość, że oddziałów „Trzaska” zdezerterowało około 100 ludzi. Dwunastego maja mjr „Żegota” odebrał przysięgę. Prawie każdego dnia mieliśmy majowe nabożeństwo, na które przychodził oddział radzieckiej partyzantki, złożony z samych Polaków. Tak przynajmniej oni mówili o sobie.

Któregoś dnia nad złapanymi deztererami odbył się sąd polowy i ukarano ich ciężkimi robotami. Odbycie kary po zakończeniu wojny. Także miał miejsce sąd polowy nad jednym Węgrem (wzięto do niewoli trzech). Skazano go na śmierć przez rozstrzelanie i wyrok wykonano. Nie pamiętam treści oskarżenia ani sedna sprawy. Dwaj jego koledzy pozostali z nami do końca istnienia naszych oddziałów.

Dotarły do nas wiadomości o tłuczeniu Niemców na wszystkich frontach i to nas mocno podniosło na duchu.

Na sanitariuszkę do kompanii przyszła „Poziomka”, tj. Halina Sawicka na miejsce „Alberty”, która odeszła do „Pożogi”, na łącznika.

Aby się ubezpieczyć przed niespodziewanym atakiem Niemców, od kilku dni wystawialiśmy placówki pod Huta – Ratneńską, na zachód i południe od wsi. Przed czołgami broniły nas potężne zasieki z grubych sosen, zrobione przy każdej drodze prowadzącej w głąb lasu.

Wśród posepnych dni bywały i bardzo jasne, gdyż oddziały majora „Kowala”, tak się u nas o tym mówiło, dokonały udanego napadu na Niemców we wsi Otdalejka i zdobyły: dwa wozy amunicji, trzy granatniki, sporo prowiantu i papierosów – bez strat.

Z czternastego na piętnastego maja zaciągnąłem placówkę pod Hutą – Ratneńską. Wysłany patrol do wsi nie zaobserwował nic podejrzanego, a z przyległego futoru przyniesiono dwa bochenki świeżego chleba, które kazałem podzielić między ludzi z plutonu. Stwierdzono dużo nie młóconego zboża w stogach na bagnach. Z daleka wyglądało jak siano w kopicy. Szeregowiec „Żubr” zrobił kilka zdjęć. Na placówce zmienił mnie ppor. „Samson”. W drodze powrotnej atakowały nas chmury komarów, zwłaszcza na drodze obok bagien. Bez przerwy musieliśmy się opędzać.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że znowu byliśmy okrążeni. Przez skórę czuliśmy dalszy marsz, tylko nie wiedzieliśmy dokąd. Gdzie, w jakiej odległości od nas, przebiegał front – nie wiedziałem. Wiezorami słychać było silne wybuchy, a w nocy widzieliśmy duże błyski rozrywających się bomb i po nich potężne detonacje. A przed nam, duża niewiadoma.

„Molli” powrócił z patrolem spod toru brzeskiego i twierdził, że można przejść znacznie dalej, nawet w dzień, ale tylko małymi oddziałami. Domysły różne, konkretnego nic.

Podobno major „Żegota” nawiązał łączność z Londynem. Nie wierzyłem w tę bajeczkę. Czekaliśmy na zrzut z lekami. Przy sposobności wyklinano doktora „Butryna” za to, że przed Zamłyniem nie rozdał leków i opatrunków żołnierzom, a trzymał je w skrzyniach, które utopiły się w bagnach. Nie byłem świadkiem utopienia leków, ale tak mówiono w kompanii i w batalionie.

Kazio „Granat” denerwował się, „Cis” pitrasił, przeważnie mięsiwo i zajadał za dwóch. Ppor. „Sokół II” mędził, a ja czasami wrzeszczałem i tak czas płynął w wyczekiwaniu na lepsze jutro.

Mięso zbrzydło mi do tego stopnia, że kiedyś, z jakiegoś cielaka, zacząłem dla siebie przyrządzać flaki. Długo to trwało, a po ugotowaniu smakowały jak trawa – bez soli, pieprzu i innych przypraw. Krótko, nie była to potrawa smaczna, ale trochę inna.

„Bak”, tj. Feliks Kowalski, przyłączył się do kompanii „Czecha” i nawet nie myślał wrócić do swej jednostki. Trzymała go Wandeczka.

Nareszcie kwatermistrze przysłali chleb. Śmieszne to i smutne bo – aż 6 bułek na cały batalion. Dowódca tego, prezentu, nie przyjął. Ponownie zaczęto się zaopatrywać na własną rękę. Zaobserwowałem, że egoizm wśród ludzi narastał. Byleby sam coś miał, o kolegę nie dbał. Na temat złagodzenia samolubstwa rozmawiałem z drużynowymi. Skutek – mizerny.

„Poraj” chodził nadęty jak paw i często wygłupiał się bez potrzeby. „Sawa” wysyłał żandarmów tu i tam, a sam wysypiał się do przeżyty. Biedny „Chomaj” nie mógł chodzić, gdyż miał opuchnięte kolano. Brakowało najkonieczniejszych leków i młody chłopiec nie miał nadziei na wyleczenie się. Na kapralu „Brodzicu” zawiodłem się. Nie można mu było powierzyć zadania bez nadzoru. Lubił dużo gadać i na pierwszym miejscu stawiał swój żołądek. „Mróz” b. dobry żołnierz, karny i obowiązkowy, dbał o podwładnych, wymagający, „Siódmy” za miękki. Obowiązkowy, o dużej inteligencji, lojalny, taktowny i grzeczny. Sierżant „Cis” – samolub. Plutony „Jawor” leniwy, mało staranny, za to brat jego, Staś bardzo koleżeński, taktowny.

18 maja 1944 r. Czwartek.

Rano dowiedzieliśmy się, że Niemcy przyjechali do Huty – Ratnańskiej, zajęli ją i wystawili placówkę tam, gdzie trzy dni temu była moja czujka. To bardzo niedobrze. Tym sposobem odcinali nam dopływ żywności, zmuszali do zmiany miejsca postoju.

Koło godziny 19.00 wyznaczono kompanię „Sokoła II”, w sile 58 ludzi, do wyrzucenia Niemców ze wsi, plus dwie kompanie z I baonu 23 pp. Całość pod dowództwem porucznika „Zajęca”. Zadanie: zejść od strony m. Zabłocie i na wysokości wzgórza pod wsią, uderzyć dwoma kompaniami na wzgórze, a jedną, tj. „Sokoła II” na wieś,

rozdzielić broniących się i zlikwidować ich. Zadanie dodatkowe – zdobyć tyle żywności, ile tylko będzie można. Po żywność wzięliśmy aż 6 furmanek, które po osiągnięciu gajówki na linii marszu, miały tam czekać na dalsze rozkazy.

Przygotowanie do wymarszu krótko trwało, bo oprócz broni i amunicji niczego nie zabieraliśmy. Koło godziny 22.30 byliśmy w nakazanym miejscu tj. na piaszczystej i szerokiej drodze, biegnącej obok toru wąskotorowej kolejki. Cel wyprawy był bliski. Posuwaliśmy się w stronę wsi wolniutko i cichutko, jak koty. Wszelkie rozkazy wydawano szeptem i przed rozpoczęciem natarcia zaczynaliśmy rozluźniać szyki, gdy nagle ... Halt! Werda?!

To prawdziwa niespodzianka. Na chwilę zalega grobowa cisza. Słyszę bicie serca i odbezpieczam karabinek. Niemiec denerwuje się, ponownie rozkaz zatrzymania się i dodaje - Hande Hoch!

Ktoś z naszej strony nie wytrzymał napięcia i strzelił. Za sekundę otrzymaliśmy odpowiedź, w postaci kilku krótkich serii z kaemu. Brr. Blisko ... W tył zwrot! W tyralierę, biegiem marsz! Zabierać rannych.

Wydałem rozkazy dla swego plutonu, przełaząc przez drut odgradzący pole od drogi. Słyszałem jak moi chłopcy pobiegli w nakazanym kierunku, a nad naszymi głowami nieprzyjemnie syczały pociski karabinowe. Pobiegłem za nimi. Tym razem hasłem –bojowym był wyraz – lala. Każdy go znał i wiedział jak się nim posługiwać. Ponieważ znalazłem się na prawym skrzydle kompanii, tym samym miałem najdłuższą drogę dojścia do wsi. Było ciemno i teren nierówny. Często ktoś się przewracał, wstawał i biegł w nakazanym kierunku. Aby nie dopuścić do paniki, dość często wydawałem rozkazy przyciszonym głosem, lecz one nie docierały do wszystkich. Na tle nieba zauważyłem że niektórzy moi żołnierze trąca kierunek, wobec tego zdecydowałem się na zdradzenie swego miejsca i już pełnym głosem zawołałem. W lewo, biegiem marsz.

Najpierw z tyłu, a potem z lewego boku strzelanina przybierała na sile. Z lewego skrzydła od „Sokoła” usłyszałem rozkazy ... Na lewo, do wioski! ... powtórzyłem je kilka razy. Koło mnie zebrało się kilkunastu strzelców i szybkim krokiem maszerowaliśmy w nakazanym kierunku, do dalszego biegu zabrakło sił. I nagle otrzymaliśmy ogień z prawego boku – serie z automatu i dwa granaty.

Zabierać rannych! W lewo do wsi, maszerować! Szybciej!

„Sokół” na lewym skrzydle ciągle wołał – „Trzyjoooot”. Odezwałem się, a schodząc z jakiegoś pagórka przewróciłem się. Teren nierówny, ciemno. Ale dlaczego „Sokół” tym ciągłym wołaniem mnie zdradza kierunek swojego marszu? Usłyszałem za sobą czyjeś kroki. Najpierw wymieniłem hasło bojowe, a po otrzymaniu od idącego za mną naszego hasła zapytałem. Kto to? „To ja, Tataruk, Oberwałem i to nieźle” Czy bardzo? Nie, mogę iść dalej? A gdzie reszta drużyny? Rozbiegli się, no i może ktoś zabity. Nie wiem.

Dostał aż siedmioma odłamkami z granatu zaczepnego. Miał pokaleczoną twarz i skarżył się na ból w prawym boku, ale szedł z karabinem, dotrzymywał mi kroku. Zatrzymałem się i zawołałem. Kapral „Mróz”, „Siódmy” – żaden nie odpowiedział.

Wcześniej nie wykonali mego rozkazu, natknęli się na zamaskowany okop i Szwab poczęstował ich serią z automatu i dwoma granatami. Czyżby tak skutecznie, że zniszczono mi aż przeszło dwie trzecie plutonu? Ppor. „Sokół” denerwował się i ciągle mnie wołał. Odpowiadałem rzadko, bo nie chciałem narażać swoich ludzi bez koniecznej potrzeby. Tymczasem dołączyło do mnie kilku ludzi z I plutonu. Przybiegł również kapral „Mróz” bez drużyny i nic nie wiedział o drużynie „Siódmego”. Twierdził, że jego brat został ranny, a może i zabity. Zaskoczenie i smutny skutek bo z całego mojego plutonu miałem obok siebie dziewięciu ludzi, w tym jednego ranne- go. Wyglądało na to, że noc była sprzymierzeńcem Niemców. Takie i podobne myśli przychodziły do głowy, ale w straty nie wierzyłem.

Po długim i męczącym biegu, a potem po forsownym marszu, znaleźliśmy się we wsi. Chyba już minęła północ. Słyszałem, że por. „Zając” też się denerwował. To nie dobrze! Mój dowódca swoimi rozkazami powiększał już istniejący bałagańczyk. Sanitariuszka „Poziomka” zaczęła płakać i wołać.

Uciekajmy stąd, bo nas wymordują. Na to ktoś pod jej adresem krzyknął. To po co tu przyszłaś. Stul Gębę.

Na ubezpieczeniu tyłu pozostawiono jedna drużynę i „Poziomkę” z nią. Pozostali posuwali się naprzód, w stronę Niemców. Marsz był ostrożny na tyle, na ile pozwalała noc i szukaliśmy Szwabów. W krótkim czasie dali o sobie znać i przywitani nas serią z kaemu. Komenda – naprzód! Byłem blisko ppor. „Sokoła” i zauważyłem, że

dużo chłopców zawahało się i nie poszło do przodu. Drugi, bardziej energiczny, rozkaz pchnął ich do przodu. Nie, ci ludzie już nie byli zdolni do walki, a zwłaszcza w nocy – tak myślałem idąc za dowódcą. Porucznik „Zając” krzychał na swoich, groził rozstrzelaniem, ppor. „Czech” bił w kark i jakoś poszli. Pocieszyłem się tym, że moi byli bardziej zdyscyplinowani. Znowu znalazłem się na prawym skrzydle i kiedy zorientowałem się, w której chałupie są Niemcy, z boku, zza węgła obory, z pozycji stojącej strzeliłem. Ktoś chwycił mnie za rękę i powiedział. Nie wyłaż durniu, bo cię zatłuką! Precz! – odpowiedziałem. Marsz na stanowisko! Ach, to pan, przepraszam. Ale niech się nie wychyla, bo ... Na stanowisko i patrz, co się koło ciebie dzieje!! odpowiedziałem ze złością i celując w okna, oddałem szybko pięć strzałów. Po chwili zobaczyłem, że ktoś wybiegł z tej chałupy z podniesionymi rękoma. Usłyszałem głos ppor. „Sokoła” wołającego – Ręce do góry! i coś jak odgłos skoku. Pobiegłem w tym kierunku, a biegnąc słyszałem krótkie szamotanie, jeden strzał z pistoletu i jęki – Ojj, ojj. A potem – Wal go w łeb, wal sukinsyna, kolbą, kolbą, kolbą! ... Lekko szarżało ... Wskoczyłem do okopu ale za późno. Tak, o dwie trzy sekundy spóźniłem się. Niemiec leżał na „Sokole”.

Porucznik „Sokół” ranny. Wyciągnąć „Sokoła” – wołał por. „Zając”.

Nie miałem siły i nie mogłem zepchnąć Szwaba z „Sokoła”, bo okop był ciasny. Zawołałem na swoich i ktoś mi pomógł. Podporucznik „Sokół” jęczał i prosił, by go zabrać, by nie pozostał w tym miejscu. Oddałem go moim ludziom i odnieśli go w bezpieczne miejsce, przywołali sanitariuszkę. Ogłuszony Niemiec stęknął – ostatni raz, bo natychmiast czyjeś dwa bagnety ugrzęzły w jego ciele. Z okopu kazałem zabrać kaem i amunicję. Kapral „Mróz” rozprawił się z Niemcem w drugim okopie i wyciągał mózdzierz. Potem z niemieckiego wozu amunicyjnego zabrałem dwie płachty namiotowe i trzewiki, w bardzo dobrym stanie. Martwił mnie stan ppor. „Sokoła”, ale nie mogłem mu niczym pomóc. Dostał postrzał w okolice nerek. Trudno ...

Poszliśmy w kierunku zachodnim, zabierając ze sobą zdobyte dwa mózdzierze kalibru 81 mm, kaem i kilka karabinów ręcznych. Do mózdzierzy było tylko 6 kompletnych naboii.

Ppor. „Sokół” bardzo cierpiał i prosił, by go dobić. Nic z tego. Wsadziliśmy go na konia, lecz ledwo się na nim trzymał. Silnie krwawił.

Straciliśmy łączność z tymi, którzy zaatakowali wzgórze. Stamtąd było słychać rzadkie strzały.

Po wyjściu z gąszczy zabudowań znowu za nami Niemcy postali kilka serii z kaemu. Wobec tego por. „Zajac” kazał ustawić moździerze i oddał z nich 5 strzałów w kierunku Niemców. Prawdopodobnie były one celne, bo Niemcy ucichli. Objąłem dowództwo nad kompanią i nakazałem dalszy marsz. „Sokoła” zdjęto z konia, bo nie mógł się na nim utrzymać. Nie mieliśmy noszy i nie było z czego zrobić prowizorycznych, wobec tego, na zmianę, nieśli go żołnierze na plecach, a „Poziomka” cały czas była przy nim. Omijaliśmy boczne zabudowania, a tymczasem ranny dowódca wydał rozkaz, by go pozostawiono. Sprzeciwiłem się temu i kazałem go nieść dalej, lecz on za chwilę powtórzył swój rozkaz, mówić ... Chłopcy, daję wam rozkaz, zostawcie mnie! – i to były jego ostatnie słowa. Jeszcze dwieście metrów tego uciążliwego marszu i sanitariuszka zameldowała.

Panie ogniomistrz „Trzyjot”, melduję, że porucznik „Sokół” nie żyje.

Podszedłem do dowódcy i sprawdziłem prawdziwość meldunku. Puls już nie bił, ręce miał zimne i sztywniejące. Kazałem zamknąć mu oczy i podwiązać brodę. Po chwili zabraliśmy trupa i poszliśmy w stronę obozowiska. Ranny „Tataruk”, nie tylko, że szedł o własnych siłach, ale jeszcze niósł dwa karabiny.

19 maja 1944 r. Piątek.

Rozwidniało się. Zadekowani Niemcy ostrzeliwali nas krótkimi seriami z karabinów maszynowych. Ogień niecelny, wysoko nad naszymi głowami. Dochodząc do lasu, na jego skraju, spotkaliśmy placówkę radzieckiej partyzantki. Dlaczego nie przyszli nam z pomocą? Ppor. „Sokoła” nieśliśmy aż za pierwsze bagno w lesie, a do niosących należałem także ja i plut. „Jawor”. W tym miejscu długi czas czekaliśmy na resztę kompanii, gdyż wokół mnie zebrało się tylko 26 ludzi, a brakowało 32. Byłem pewny, że dużo z nich zginęło i z tego powodu było mi ciężko na duszy.

Zadania też nie wykonaliśmy, bo serie do nas z kaemów o świecie świadczyły o tym, że Niemców nie wydusiliśmy i nie zdobyliśmy żywności.

Po krótkiej modlitwie, pozostawiłem dowódcę z dwoma żołnierzami, a z resztą pomaszerowałem do miejsca postoju, by złożyć meldunku dowódcy baonu i przysłać furmankę po zwłoki. Dowódca dość często mówił, że nic my się nie stanie, że wojnę przeżyje i wróci do żony i syna. Zły los chciał inaczej i pozostanie na zawsze w lasach Polesia, daleko od rodziny i może nigdy na jego grobie nikt nie złoży wiązanki kwiatów, tego skromnego upominku za trud i oddanie życia w świętej sprawie.

Padł jak żołnierz, lecz jednocześnie było nam smutno dlatego, że od własnej kuli, a świadkiem tego niefortunnego przypadku był kapral „Mróz”, tj. Lambert Stasiak.

Po przybyciu do obozu złożyłem meldunek dowódcy batalionu, ppor. „Ćwikowi”. Nie był zachwycony moją relacją, a nieudany wypad na Hutę - Ratneńską przypisywał por. „Zającowi”.

Wielkie było moje zdziwienie i ogromne zadowolenie, gdy w kilkadziesiąt minut po przybyciu do obozu, wrócili wszyscy moi chłopcy z tym, że ranny był kapral „Siódmy” w nogę, poniżej kostki i szer. „Burza” lekko w twarz. Kapral „Siódmy” zlikwidował ten okop, z którego dostaliśmy ogień na początku walki i właśnie tam został ranny. Także wielkie zadowolenie z powrotu moich ludzi wyraził dowódca baonu, ppor. „Ćwik”. „Mróz” z bratem „Granatem”, uściskali się serdecznie, gdy ten ostatni, uważany za zabitego, wrócił cały i zdrow. Trzech braci w jednej drużynie, a dowodził nimi średni – „Mróz”.

Furmanka ze zwłokami ppor. „Sokoła” przybyła w godzinę później. Daliśmy znać siostrze. Przyszła zapłakana. Razem z kondolencjami oddaliśmy jej wszystkie prywatne rzeczy brata.

Pogrzeb wyznaczono na godzinę 11.00. Z szefem „Granatem” wybraliśmy miejsce na grób, przy skrzyżowaniu dróg, koło obozu I baonu 23 pp i tam został pochowany z należnymi honorami wojskowymi, lecz bez trumny, na gołej ziemi, przykryty własnym płaszczem.

Stojąc nad mogiłą swego dowódcy, który jeszcze kilkanaście godzin wstecz był między nami, uświadomiłem sobie, że życie ludz-

kie można porównać do najlichszej istoty. Mimo woli na myśl przyszła stara, żołnierska piosenka. „Śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie”. I od tej pory, do wiecznego snu, tę piosenkę będą Mu nuciły sosny i świerki, otaczające samotną mogiłę. Porucznik „Zając” był bardzo smutny. Ktoś w kilku słowach pożegnał zmarłego, a salwa honorowa zakończyła ten skromny i smutny obrzęd. Nad świeżą mogiłą stanął krzyż brzozy, z małą tabliczką. Napisu na tabliczce nie zapamiętałem. Żałuję.

Po powrocie do obozowiska, jedną płachtę namiotową dałem Kazikowi Tyranowi, tj. st. ogn. „Granatowi”, a trzewiki, które okazały się dla mnie za małe, zamieniłem z szer. „Piorunem” i od tej pory mogłem swobodnie chodzić. To ogromna ulga. Starszy strzelec „Kusy” zdobył sobie najnowszy pistolet niemiecki, kalibru 9 mm i mapy. Te ostatnie zabrał dowódca baonu.

Wyprawa nasza minęła się z celem, mimo że Niemcy stracili około 40 ludzi. Byłem przekonany, że czeka nas nowa, uciążliwa wędrówka. Dowództwo nad kompanią objął ppor. „Molli”. O godzinie 19.30 nastąpił wymarsz baonu do skrzyżowania dróg w lesie, bliżej wsi.

c.d.n.

* * *

Zenon Wira

CMENTARZ W KUPICZOWIE NA WOŁYNIU

Podziękowanie Darczyńcom.

W ubiegłym roku, Pani Janina Raczyńska-Gruszka, była mieszkanka Radowicz i żołnierz Okręgu Wołyńskiego AK, wspólnie ze Środowiskiem Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej w Chełmie ogłosiła apel o pomoc w uratowaniu polskiego cmentarza katolickiego w Kupiczowie, pow. Kowel, woj. wołyńskie. Apel ten został opublikowany m.in. w następujących pismach: „Nasz Dziennik”, „Biuletyn Informacyjny 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej”, „Kresy – Tygodnik Chełmski”, „Ścieżkami Historii”, „Na rubieży”, „Wołyń Bliżej”, „Wołyń i Polesie”, „Kombatant”, „Polsce Wierni”, „Biuletyn Informacyjny Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej”.

Na jego wezwanie odpowiedziały: jedna instytucja gospodarcza, trzy organizacje kombatanckie Armii Krajowej, jeden z urzędów administracji państwowej i 27 osób indywidualnych. Według stanu na dzień 31 sierpnia 2002 r., na konto banku, w którym gromadzone są wpłaty na rzecz ratowania kupieckiego nekropolii, wpłynęło 3065 zł (trzy tysiące sześćdziesiąt pięć złotych). Uzyskane pieniądze od Darczyńców pozwoliły Środowisku Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w Chełmie z jego przewodniczącym Zarządu – p. mjr. **Tadeuszem Perszem „Głazem”**, przy aktywnym współudziale p. ppłk. dr. **Stanisława Dubaja** z Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej im. 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej w Chełmie i p. **Janiny Raczyńskiej-Gruszek**, urządzić symboliczną kwaterę na opuszczonym cmentarzu, zamienionym na wysypisko śmieci i odpadów poprodukcyjnych. Na solidnie ogrodzonej kwaterze ustawiono duży krzyż żelazny i umieszczono granitową płytę informacyjną z napisem: „*Cmentarz rzymskokatolicki w Kupiczowie od 1911 r. do 1945 r. Prosimy o modlitwę i szacunek dla tego miejsca. Rodziny i krewni*”. Uzyskano też życzliwe zapewnienie władz gminy Kupiczów, że teren cmentarza polskiego będzie zachowany w stanie nienaruszonym i przestanie być miejscem profanacji.

Wspomniana kwatera – godny symbol wiecznego spoczynku kilku pokoleń parafian oraz żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK i ofiar zbrodni popełnionej przez bandy nacjonalistów ukraińskich na niewinnej i bezbronnej ludności polskiej – powstała dzięki szlachetnej postawie i ofiarności następujących Darczyńców: **Józef Bieńko** – Stalowa Wola, **Tadeusz Filipczak** – Świebodzin, **Antoni Galka** – Szewna, **Zbigniew Gosk** – Warszawa, **Anna i Stanisław Jachyra** – Łowicz, **Grażyna Kapias** – Bielsko-Biała, **Bolesław Kowalski** – Kraków-Nowa Huta (3 wpłaty), **Kazimierz Markiewicz** – Łowicz, **Bolesław Mieczkowski** – Nowa Iwiczna, **Ryszard Mierzwa** – Gdańsk, **Stefan Mikołajewski** – Szczecin, **Edward Mularczyk** – Chełm, **Jerzy Nawara** – Katowice-Kostuchna, **Jerzy Oświecimski** – Sopot, **Stanisław Pisarczyk** – Warszawa, **Izabela Podomska** – Toruń, **Stanisław Rosiński** – Piła, **Jan Skowroński** – Bełchatów, **Zbigniew Szczerba** – Jelenia Góra, **Jan Wereszczyński** – Poznań, **Jan Wernik** – Olkusz, **Zenon Wira**

– Chełm, Wolk-Leonowicz – Zielona Góra, Jan Tadeusz Wyrozumski – Kielce i Tadeusz Zagórski – Chełm oraz: Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji w Lublinie, Koło Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Kolnie, Koło Światowego Związku Żołnierzy AK w Tomaszowie Mazowieckim, Środowisko Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w Chełmie i Urząd Gminy Sawin.

Ta krótka informacja niech będzie jednocześnie aktem gorącego podziękowania wszystkim szlachetnym Darczyńcom, skierowanego do Nich przez byłych mieszkańców parafii Kupiczków i ich rodziny, a także kombatantów – inicjatorów uratowania cmentarza katolickiego, jednego ze świętych śladów wielowiekowej obecności Polaków na ziemi wołyńskiej. Niech również w niebiosach, w intencji Darczyńców popłynie do Pana Boga żarliwa modlitwa powołanych do wieczności kupieczowskich parafian i żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, poległych w obronie Ojczyzny.

* * *

Zenon Wira

CMENTARZ KATOLICKI W BINDUDZE NA WOŁYNIU. KTO UZUPEŁNI TEN WYKAZ?

Komisja Historyczna i Pamięci Narodowej Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej w Chełmie zwraca się z serdecznym apelem do Czytelników naszego pisma i Członków Środowisk Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w kraju, a także do Rodzin żołnierzy pochowanych na cmentarzu katolickim w Bindudze na Wołyniu o pomoc w uzupełnieniu listy poległych obrońców Ojczyzny. Niżej zamieszczamy wykaz nazwisk z dodatkowymi informacjami, które dotychczas udało się ustalić.

Wszystkie informacje na ten temat prosimy kierować pod następujący adres: Środowisko Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, Komisja Historyczna i Pamięci Narodowej, 22-100 Chełm, ul. Mościckiego 21, lub pod numer prywatnego telefonu w Chełmie: (0-82) 565 41 39.

Będziemy też wdzięczni za wspomnienia i relacje o wydarzeniach wojenno - okupacyjnych na terenach nadbużańskich oraz we wsi i parafii Binduga. Osoby zainteresowane prosimy o wypożyczenie do reprodukcji zdjęć okolicznościowych i żołnierzy dywizji, poległych w 1944 r. i pochowanych na cmentarzu w Bindudze, a także o wykazy osób zamordowanych przez OUN-UPA w miejscowościach należących nie tylko do parafii Binduga. Cenne też będą dla nas informacje o losach tamtejszego duchowieństwa, ziemiaństwa, nauczycieli, oficerów Wojska Polskiego i funkcjonariuszy Policji Państwowej oraz o osobach związanych z konspiracją niepodległościową. Nadesłane przez Państwa teksty i zdjęcia zostaną wykorzystane w publikacjach o polskim Wołyniu.

Każda Państwa relacja lub pamiątnik mogą stać się znaczącym przyczynkiem do wzbogacenia wiedzy o tragicznych losach Polaków żyjących na Kresach Wschodnich II RP, o dziejach ziem utraconych, których historia lat wojny i okupacji dwóch wrogów jest rozpoznana tylko fragmentarycznie i w dalszym ciągu oczekuje na pełny i zgodny z prawdą zapis w księdze dziejów ojczystych. Ten zapis jesteśmy winni tym, którzy złożyli ofiarę ze swojego życia w obronie naszej niepodległości, a także ogromnej rzeszy naszych rodaków, którzy niewinni i bezbronni ponieśli śmierć z rąk ukraińskich oprawców oraz tym, których brutalnie wyrzucono ze stron rodzinnych ograbiając ich z dorobku wielu pokoleń Polaków.

Wykaz

żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, pochowanych w 1944 roku na katolickim cmentarzu parafialnym w Bindudze w powiecie lubomelskim na Wołyniu (niepełny, wg stanu na dzień 30 czerwca 2002 roku)

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim Oddział	Data i miejsce śmierci
1.	Adamkiewicz Jan	„Zemsta” „Korda”	07.03.1944 Zamłynie
2.	Buczek Antoni	„Pas” „Korda”	03/04.04.1944 Sztuń
3.	Burzyński Kazimierz	„Burza” „Gzymśa”	05.04.1944 Sztuń

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim Oddział	Data i miej- sce śmierci
4.	Gdowski Józef	„Komin” „Siwego”	09.04.1944 Staweczki
5.	Gorgol Zdzisław	? pluton saperów	08.04.1944 Czmykos
6.	Grabowski Stanisław	„Junosza” „Sokoła”	08.04.1944 Czmykos
7.	Gracz Jan	„Dysk” „Korda”	02.04.1944 Zamłynie
8.	Karaniewicz Antoni	„Sosna” „Sokoła”	02.04.1944 Sztuń
9.	Korczak Walenty	„Makolągwa” „Małego”	20.03.1944 Korytnica
10.	Kupracz Adam	„Gwizdek” „Korda”	02.02.1944 Sztuń
11.	Kuszel Józef	? „Korda”	13.04.1944 Sadówka
12.	Kutasiuk Władysław	„Trok” „Korda”	02.04.1944 Sztuń
13.	Mańkowski Zbigniew	„Hektor” „Korda”	09.04.1944 Zamłynie
14.	Matusiewicz Kazimierz	„Smiga” „Trzaska”	12.04.1944 Stawki
15.	Matyszczuk Franciszek	? „Korda”	? k. Zamłynia
16.	NN	„Jaskółka” „Sokoła”	03/04.04.1944 Sztuń
17.	NN	„Rak” „Sokoła”	03.04.1944 Sztuń
18.	NN	„Świt” „Sokoła”	03.04.1944 Sztuń
19.	NN	„Wolność” „Sokoła”	03/04.04.1944 Sztuń
20.	Pośniak Ryszard	„Aryman” Komp. Warsz.	05.04.1944 Sztuń

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim Oddział	Data i miej- sce śmierci
21.	Olszacki Tadeusz	? „Siwego”	10.04.1944 Staweczki
22.	Paluch Franciszek	„Rucik” „Sokoła”	10.04.1944 Staweczki
23.	Podkański Józef	„Kaktus” „Sokoła”	03.04.1944 Sztuń
24.	Pol Edward	? „Trzaska”	12.04.1944 Stawki
25.	Rabek Witold	„Witek” „Sokoła”	03.04.1944 Sztuń
26.	Stanisławski	„Lew” „Sokoła”	03.04.1944 Sztuń
27.	Stocki Bronisław	„Brzoza” „Korda”	03.04.1944 Sztuń
28.	Swoboda Jan	„Walka” Komp. Warsz.	05.04.1944 Sztuń
29.	Swoboda Leonard	„Lampart” „Sokoła”	02.04.1944 Sztuń
30.	Świergotowicz Władysław	„Śpiewak” „Sokoła”	02.04.1944 Sztuń
31.	Świrgoń Kazimierz	„Łata” „Korda”	02.04.1944 Sztuń
32.	Trusiuk Stanisław	„Kowelski” „Korda”	02.04.1944 Zamłynie
33.	Węglowski Stefan	„Funio” Komp. Warsz.	26.04.1944 Pohulanka
34.	Wojtowicz Stanisław	„Orzeł” pluton saperów	08.04.1944 Czmykos
35.	Wójtowicz Zygmunt	„Pajak” pluton saperów	08.04.1944 Czmykos

W 1996 roku, na opuszczonym cmentarzu katolickim w Bindudze, staraniem Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej w Chełmie, urządzono symboliczną kwaterę żołnierską, na której umieszczono krzyż z tablicą nazwisk poległych partyzantów.

* * *

WOŁYNIACY MAJĄ WŁASNĄ KAPLICĘ W KAŁKOWIE

Sanktuarium Maryjne w Kałkowie z urządzoną już i oddaną do zwiedzania Kaplicę Wołyńską udowodniło, ile można zrobić, gdy dobrym zamierzeniem towarzyszy jednocześnie dobra wola, gotowość do wysiłku w szlachetnych intencjach i ogólne zrozumienie istoty owego działania. Wspólny wysiłek wielu ludzi, chęć dorzucenia przez każdego zainteresowanego choćby małej cegiełki do zamierzonej budowy znaczy naprawdę wiele.

Pomysł urządzenia Kaplicy z elementami wołyńskimi w sytuacji, gdy o Wołyniu, skąpanym w polskiej krwi, przestano z woli wysokich władz mówić, gdy skazano jedno z najbardziej tragicznych wydarzeń w naszych dziejach na całkowite zapomnienie, eksponując jednocześnie rzekome krzywdy naszych niedawnych prześladowców i sprawców strasznego dramatu, otóż w tego rodzaju sytuacji ów pomysł przypadł do serca wszystkim byłym mieszkańcom Wołynia. Czekali tylko na przystąpienie do konkretnych działań, na zew do niesienia pomocy w stopniu odpowiadającym możliwościom każdego z nich.

Tymczasem oczekiwania przeciągały się w nieskończoność. Upłynęły dwa lata i wokół Kałkowa zaległa cisza, jak wokół samego Wołynia. A sprawa wydawała się być na tyle ważna, by podjąć ją natychmiast. Wyjaśnienia typu „brak funduszy” kwitowano zdziwionym wzruszeniem ramion. Nie takich dzieł dokonuje się nawet na samym Wołyniu, w naprawdę tragicznej tam sytuacji ekonomicznej. Wyrastają kościoły, krzyże, powstają zespoły artystyczne, biblioteki. Bo są dobre, szczere chęci, wola działania. I ta dobra wola tworzy cuda.

Podobnie stało się i w Kałkowie. Wystarczył krótki apel do wołyńskich serc, do wołyńskich Środowisk 27 Dywizji Piechoty AK, do zebranych z różnych okazji Wołyniaków, na przykład w zamojskiej Rotundzie na dorocznych uroczystościach w intencji pomorodowanych, do wołyńskich Towarzystw, aby posypały się dobrowolne datki, od poważnych sum, jak na przykład ze Środowiska Hrubieszowskiego, które nadesłało 500 zł, do wpłat indywidualnych po 100

i 200 zł, ale niekiedy i po 10 czy 20 zł. I te wdowie grosze wystarczyły, by po upływie kilku miesięcy można było w dniu 3 Maja 2002 r. dokonać uroczystego poświęcenia Kaplicy – Oratorium w obecności kilkuset Wołynian oraz ich przyjaciół i sympatyków.

Oprawa uroczystości była poważna i podniosła. Mszę św. celebrował Arcybiskup lubelski prof. Bolesław Pylak w asyście wołyńskich księży – ks. kan. Zbigniewa Staszewicza, kapelana Środowska Lubelskiego, O. Czesława Domańskiego, naszego byłego żołnierza Wołyńskiej Dywizji i ks. Franciszka Ostrowskiego rodem z byłej parafii Zasmyki. Oprócz nich udział w koncelebrze wzięli księża miejscowi i przyjezdni. Ks. arcybiskup przemówił od ołtarza, przypominając tragedię Wołynia i Kresów Południowo – Wschodnich, nakreślił dramatyczną sytuację po lewej stronie Bugu w 1944 r. na co patrzył własnymi oczami, scharakteryzował także prawdziwe motywy wydarzeń zwanych akcją „Wisła”.

Po nabożeństwie zebrani udali się procesjonalnie z pocztami sztandarowymi z Warszawy, Krakowa i Lublina do „Golgoty Polskiej”, monumentalnej budowli, a której znajduje się już dziś ponad 30 kaplic, a wśród nich od dnia 3 maja również Kaplica Wołyńska. Tu odbył się dalszy ciąg uroczystości.

Wyposażenie naszej Kaplicy składa się z kopii obrazu Matki Bożej Latyczowskiej, patronki Podola i Wołynia, kamiennej tablicy informacyjnej, zawierającej krótką historię Wołynia od czasów powstania Państwa Polskiego po rok 1943 – rok okrutnego dramatu tej Ziemi. Są trzy plansze z których jedna składa się z obrazów Matki Bożej, najbardziej znanych i czczonych na Wołyniu, a szczęśliwie ocalałych z pożogi wojennej, druga ukazuje znane wołyńskie kościoły zniszczone przez UPA i Sowieców, trzecia wreszcie zawiera portrety wybitnych Polaków, których wydała Ziemia Wołyńska, a więc Juliusza Słowackiego, ks. Hugona Kołłątaja, Tadeusza Czackiego, Cypriana Godebskiego, Antoniego Malczewskiego i innych. Jest tablica upamiętniająca 27 Wołyńską Dywizję Piechoty AK, jest gablotka z drobnymi przedmiotami wydobytymi z wspólnej mogiły pomordowanych Polaków w Ostrówkach k. Lubomla, ekshumowanych w 1992 r. Są fragmenty „Litanii Wołyńskiej” pióra znanego chełmskiego poety o wołyńskich korzeniach – Krzysztofa Kołtuna. Jest wreszcie metalowy Orzeł strącony z gmachu PKP w

Równem w dniu wkroczenia do miasta w 1939 roku czerwonoarmistów, a uratowany i przekazany nam przez zmarłego niedawno naszego znakomitego przyjaciela Henryka Sidora, ostatnio mieszkańca Lublina. Wymienione plansze mają kształt konturów Wołynia według propozycji Kazimierza Danilewicza. Całość urządzenia wykonał w swej pracowni p. Jacek Siedlecki w Lublinie, syn naszego dywizyjnego kolegi Romualda Siedleckiego.

Byłoby dobrze, gdyby Wołynianie, już z własnej inicjatywy, umieścili na ścianach Kaplicy tabliczki, najlepiej metalowe, z nazwiskami swoich rodzin pomordowanych przez UPA z podaniem daty, miejscowości i wieku ofiar mordów. Zachowałyby się ich pamięć i w tej części Polski i w ich intencji popłynęłyby modły odwiedzających Kaplicę pielgrzymów.

Przybyłych do Kaplicy duchownych i uczestników uroczystości powitał i nakreślił krótka historię wołyńskich tragedii, a także znaczenie Kaplicy dla uratowania pamięci o naszej najbliższej Ojczyźnie piszący te słowa. Treść tablicy informacyjnej odczytał na życzenie Arcybiskupa jeden z kapłanów, po czym Arcybiskup Bolesław Pylak dokonał poświęcenia Oratorium. Oglądanie plansz oraz wykonywanie okolicznościowych zdjęć na tle ekspozycji zakończyło uroczystość.

Kaplica już teraz budzi żywe zainteresowanie pielgrzymów, tym bardziej, że jest pierwszą przy wejściu do „Golgoty”. Wielu zaskakuje widok portretów Juliusza Słowackiego czy Gabrieli Zapolskiej, nie zawsze kojarzonych z naszą Zabuzzańską KRAINĄ. I dzięki temu rodzi się zainteresowanie również tablicą informacyjną oraz pozostałymi eksponatami. Widać było uczestników uroczystości, jak stali nieruchomo przed zdjęciami Madonn lub świątyń wołyńskich, z którymi związani byli w latach swego dzieciństwa i wczesnej młodości. W oczach pojawiały się dyskretnie ocierane łzy. Najlepszy to znak, że ofiary i praca nad urządzeniem Kaplicy nie były daremne.

Na zakończenie pragnę raz jeszcze podziękować bardzo serdecznie wszystkim, którzy przyczynili się do powstania Kaplicy, których datki i ofiary pozwoliły zawiesić na ścianach Oratorium obrazy i informacje o Wołyniu. „Proszę umieścić jak najwięcej danych historycznych o tamtej Ziemi i jej bolesnych losach, bo w narodzie odczuwa się głód wiedzy o tym. A to są przecież nasze dzieje” – po-

wiedział w jednej z rozmów ks. Czesław Wala, Kustosz Sanktuarium. Temu Czcigodnemu Kapłanowi należą się słowa szczególnego uznania i wdzięczności. Serdeczne podziękowania należą się pocztom sztandarowym i wszystkim uczestnikom naszego Świąta. Osobne podziękowania pragnę złożyć Kol. Stanisławowi Maślance, sekretarzowi Zarządu Okręgu Wołyń, którego wkład w organizację uroczystości był naprawdę godny uznania.

Niech Kaplica Wołyńska dobrze służy Bogu, Ojczyźnie i naszej umiłowanej, krwią niewinną przesiąkniętej Ziemi nad Turią, Stochodem, Styrem i Horyniem.

* * *

Stanisław Maślanka „Legenda”

SANKTUARIUM BOLESNEJ KRÓLOWEJ POLSKI

Zbudowane zostało na czystym polu. Początek budowy to rok 1983. Powierzchnia jego wynosi 9 ha. Nad całością dominuje kościół z kopią obrazu Matki Boskiej Licheńskiej. Obok kościoła dzwonnica, Dom „Panoramy Świątokrzyskiej”, Dom Jana Pawła II, Dom Pielgrzyma, herbaciarnia. Na pozostałym terenie, na specjalnym nasypie znajduje się monumentalna „Golgota” – Martyrologia Narodu Polskiego z 30 kaplicami, które równocześnie stanowią dwunastą stację Drogi Krzyżowej.

Czynnik religijno patriotyczny stanowi „Panorama Świątokrzyska”, gdzie pielgrzymi mogą przypomnieć sobie w skrócie nasze dzieje i więzy jakie od zarania łączyły nasz Naród z chrześcijaństwem. „Golgota” natomiast to przede wszystkim najnowsze dzieje Polski, tak bardzo znaczone krzyżem. Jest tam więc kaplica Powstania Warszawskiego, kaplica ks. Popiełuszki, cła śmierci św. Maksymiliana Kolbe, okropności Oświęcimia, kapliczka Katyńska, górnicze kaplice kopalń „Wujek”, „Szczygłowice”, „Jastrzębie”, kaplice partyzantów Armii Krajowej, której patronką jest Matka Boska Bolesna z Wykusu. Wiadomo, że Wykus to polana w Górach Świątokrzyskich, którą „Ponury” nazywał domem AK. Tu działali słynni „Jędrusie” zgrupowania „Ponurego”. Tu poległo wielu żołnierzy AK.

Cały okres okupacji i wiele lat później ludzie żyli tu w stałej groźbie. Do 1956 r. trwało tu wylapywanie przez UB żołnierzy AK. Panował terror i prześladowania. Z Kałkowa do Wykusu jest tylko 12 kilometrów.

Jedną z takich kaplic jest i nasza, poświęcona żołnierzom AK z Wołynia, którego dzieje w czasie wojny światowej również można nazwać „Golgota”. Wybudowana w Kałkowie „Golgota” w postaci wielopiętrowego zameczyska z kamienia i cegły, akcentuje bardzo mocno bolesne dzieje ostatniego półwiecza, poczynawszy od 1939 roku, poprzez tragedię obozów koncentracyjnych, partyzanckich bitew, poległych żołnierzy na wszystkich frontach ostatniej wojny, aż do morderstwa ks. Popiełuszki.

Budowla ma 33 m wysokości, a na jej szczycie stoi dębowy 15 metrowy krzyż. Na frontowej ścianie widnieje 25 białych orłów, które stanowiły godło polskie w różnych okresach naszych dziejów.

Twórcą tego Sanktuarium jest ks. Czesław Wala, który będąc miejscowym wikariuszem dosłownie z niczego rozpoczął budowę i do tej chwili jest jego kustoszem. Jemu zawdzięczamy, że otrzymaliśmy kaplicę, która będzie przypominać o Wołyniu dziesiątkom tysięcy pielgrzymów odwiedzających Sanktuarium co roku.

* * *

Irmina Gaczyńska

ŻYCIE JAK FILM MOJA WOJNA, UCIECZKA, WIĘZIENIA I WYZWOLENIE. CZĄSTKA ŻYCIA

To co chcę opisać w wielkim skrócie, nie jest filmem, a tylko małym urywkiem życia, który można nazwać horrorem. Kiedy w 1941 r. uciekałam z niewoli niemieckiej do Warszawy, mogło się wydawać, że trzeba być szalonym lub bohaterem, żeby się na to zdobyć ... a jednak nie byłam ani szalona, ani bohaterką, byłam tylko 16-letnią dziewczyną, która broniła się przed wojną i jej przypadłościami, na swój naiwny, bezbronny sposób. Ucieczka z Niemiec przez Poznań, Łódź, przekroczenie granicy było pomysłem równającym się samobójczej śmierci. Ktoś powie cud, przypadek, a jeszcze inny

pomyśli, że to moja fantazja. A jednak tak było. Oczywiście dużo gorzej. Opisuję w streszczeniu, ale tylko samą prawdę.

Jest noc zimowa w grudniu 1941 r. Cicho wychodzę z domu i biegnę. Pociąg z Berlina na front wschodni zatrzymuje się na chwilę na wiejskiej stacji Leicholz. Muszę wejść do tego pociągu przepelnionego wojskiem niemieckim. Innego pociągu dzisiaj nie będzie. Nie mam powrotu. Muszę wejść, ale jak? Jest noc grudniowa, mróz. Żołnierze otwierają drzwi, aby zaczerpnąć powietrza, zduszeni jeden przy drugim i oto wiedzą na pasie peronu jedyne go pasażera, usiłującego dostać się do wagonu. Czy któryś z nich myśli w tej chwili, że musi pomóc polskiej dziewczynie w szkolnym berecie, uciekinierce? Wyciągam do nich ręce i proszę: pomóżcie, muszę jechać ... Mocne, męskie ręce są niezawodne. Ktoś chwytą moje dłonie, ktoś pociąga za poły płaszcza i jestem wbita w masę mundurów. Przesuwam się do okna. Pociąg rusza. Stało się, jestem skamieniała ze strachu. Wszystkie oczy patrzą na mnie w martwej ciszy. Oczy żołnierzy, jasne i pełne niemego zdziwienia. Patrzę w te oczy i szukam litości, a znajduję samego Boga. Tak ... to On, ten Ojciec wszystkich, ten Wódz z Nieba zszedł do tego wagonu i pokonał mój strach. Pokonał Niemców.

Dwie godziny trwała ta przedziwna podróż do Poznania, w ciszy ... Nikt mnie o nic nie pyta, nie zaczepia, jestem niewidzialna. A wokoło mnóstwo żołnierzy niemieckich. W Poznaniu te same niemieckie ręce pomogły mi wyjść na peron. Odwracam się nagle twarzą w twarze niemieckich żołnierzy i posyłam im najpiękniejszy uśmiech, jaki mogłam wywołać, i kłaniam się bez słowa. Tyle tylko mogłam. Pociąg powoli rusza. Stoję i wciąż patrzę. Jadą zabijać i być zabijani. A mogliby kochać i być kochani. Wojna rodzi nienawiść, ale czyni też cuda. To był cud!

Poznań. Miasto znane mi tylko z lekcji geografii polskiej. Ogromna stacja. Mnóstwo ludzi, gwar w języku niemieckim i pośród tego ja zagubiona, bezbronna uciekinierka z niewoli niemieckiej. Błagam się ... modłę ... szukam jakiegoś szeptu polskiego, aby uzyskać informacji. I nagle ... jak z pod ziemi wyrasta przede mną, o Boże ... co to? grupa oficerów SS. To już koniec! Pragnę zawrócić, uciec, schować się, ale gest ręki jednego z bogów życia i śmierci przywołuje mnie do siebie. Podchodzę sparaliżowana lękiem, nogi

uginają się pode mną i oto jakaś niewidzialna siła zmusza mnie do uśmiechu ... ten uśmiech, wraz z pięknie skierowaną prośbą o informację, kieruję do oficera niemieckiego. Taki cud nie zdarza się każdemu. Bóg obiera sobie do pomocy przedziwne drogi i przedziwne osoby. Tym razem wybrał oficera SS. Co myślał ów oficer pomagając polskiej dziewczynie w ucieczce? A może nic nie myślał, a stał się na tych kilka minut narzędziem w rękach Boga? Podziękowałam jak mogłam najpiękniej i jak lunatyk wpatrywałam się w trupa czaszkę na czapce, do której esesman podniósł rękę salutując mi na pożegnanie. A może nie mnie? ... Komu? Bogu, Niebu? Tak to był drugi cud.

Pociągami pośpiesznym, zakazanym dla osób nie niemieckich, wśród cywilnych, niemieckich dygnitarzy, w nieprawdopodobnym strachu, uciekając przedziwnie kontroli, dojechałam do miasta Łodzi, które było przyłączone do Reichu. Z trudem odnalazłam dom, do którego miałam się udać i czekać w nim na przybycie przewodnika, który miał przeprowadzić mnie przez granicę. To jest trzeci etap ucieczki, bardzo ciężki, niebezpieczny, na krawędzi śmierci. Jest Sylwester 1941 r. Mróz sięga -30 stopni. Trasa pieszej podróży wiedzie przez peryferie miasta Łodzi, potem przez drogi polne, parę km lasu zasypanego śniegiem, a następnie przez otwartą przestrzeń, do słupów granicznych oddzielających Reich od Generalnej Guberni.

Bniemy w zaspach śniegu. Droga jest ciężka i niebezpieczna. Słupy graniczne mijamy u kresu sił. Przeszliśmy ponad 30 km! W polskim domu znajdujemy schronienie i gorące mleko. Wybija godzina 24. Nastaje Nowy 1942 Rok. Rankiem udajemy się na stację i pociągami dostajemy się do Żyrardowa. Tutaj na stacji oczekują nas mama, Krysia, Jurek i ojciec Janka – przewodnika, już wtedy narzeczonego mojej siostry Krysi. Pobyt w domu pełnego ciepła, trwał nie całe dwa miesiące. 21 lutego 1942 r. zostałam zaskoczona rankiem w łóżku, aresztowana przez żandarmerię niemiecką i zamknięta w Warszawie na Pawiaku. Głód, zimno, strach i tęsknota za domem trwa kilka miesięcy. Przeżycie Świąt Wielkiej Nocy za kratami było bardzo bolesne. Któregoś wiosennego wieczoru, już po apelu, otwierają się drzwi i wywołują moje nazwisko do transportu. Transport z Pawiaka miał różne znaczenie. Ale zawsze jednakowo przerażał. Może być transport do Oświęcimia, do Rawensbruck, czasami na

Palmiry, i coraz częściej parę metrów od bramy Pawiaka, do murów Getta. Tego wieczoru trzeciego maja 42 r. zostałam zabrana z celi w nieznany transport. Szybkie pożegnania, ktoś mnie przytula, ktoś mówi: „bądź dzielna”, czuje czyjeś łzy, na mojej twarzy. Wychodzę. Upychają kilkanaście osób w małej celi na całą noc. Wczesnym rankiem, jeszcze i zmroku wyprowadzają nas do czekających już samochodów. Nikt nie wie dokąd nas zawiozą ...

Na stacji z kordonem żandarmerii jesteśmy wprowadzane pojedynczo do wagonu więziennego, gdzie są cele na jedną osobę, bez okien. Siadam na wąskiej ławeczce, a czołem dotykam drzwi. Jest duszno, bardzo źle. Czy dotrwam żywa do końca? W tych warunkach dojechaliśmy do Poznania. I znowu kordon policji, samochody i więzienie. W celi jest 120 osób, ciężko, głód i przerażające warunki. Po kilku tygodniach znowu transport. Tym razem więzienie w Berlinie. Głód szarpie wnętrzności, dokoła feter, robactwo, pasożyty, gwar w kilku językach. Więzione są Polscy, Niemcy, Rosjanie, Czeszcy oraz kobiety innych narodowości. Istne piekło. Przez ten czas stałam się bardzo dorosła, prawie stara, a mam tylko 17 lat. Jeszcze jeden transport i więzienie we Frankfurcie. Potem w urzędzie pracy kupił mnie jakiś niemiecki drań i oddał na posługi swej matce i kochance. W tym czasie miałam dość życia. Chciałam umrzeć już, zaraz, natychmiast. I znowu wtrącił się w moje życie Bóg.

Matka na różne sposoby starała się wyrwać mnie z niewoli i w końcu wpadła na pomysł, aby napisać prośbę o moje zwolnienie do Krakowa, do Generała Franka. Wydawałoby się, że to ostatnia rzecz jaka mogła by się sprawdzić ... a jednak ... Kat Generalnej Guberni Generał Frank podpisał zwolnienie. Wróciłam do domu. I to był trzeci i ostatni cud w moim życiu.

Jest rok 1944. Mam 18 lat. W Warszawie wybucha powstanie. Zostałam po raz trzeci wywieziona do Niemiec. Wraz z całą rodziną umieszczono nas za drutami w fabryce amunicji, w Oberdaschteten, koło Ausbach. Ciężka praca przerywana nalotami samolotów. I w ten sposób doczekałam końca wojny i wyzwolenia. Przeżyłam wraz z rodziną. Życie z dnia na dzień staje się piękniejsze, gdy się ma 18 lat. To piękno i ta młodość trwała tylko jedno lato 1945 roku. Wokoło amerykańscy żołnierze, pachnący dobrym mydłem i kochaniem. Dużo chleba, a wieczorem muzyka i taniec. Czułam bezgraniczną

wdzięczność do tych dziwnych i nieznanych ludzi w mundurach wojskowych. I wdzięczność za tę wiarę w umęczonym sercu, tylekroć ranionym, że mimo tego świata wojny i zbrodni, istnieją jeszcze wartości takie jak miłość. I rosła we mnie nowa wiara w człowieka. Ktoś kiedyś powiedział, że z objąć śmierci zdolny jest wyrwać nas zapach chleba ... to nie prawda! Ludzka miłość, dobroć i przyjaźń ma tę cudowną moc. Ja tę wiarę zdobyłam, patrząc na ludzi w amerykańskich mundurach. Patrzyłam zdumiona i przerażona wielkim sercem tych ludzi, w których rękach znajdował się chleb. I gdy po latach rozpamiętuje tę wiarę, w człowieka i w Boga, znajduje ją w tej kromce chleba podanej mi przez żołnierza amerykańskiego, w tym czułym geście lekarza amerykańskiego, który udzielił mi pomocy w chorobie. I wiarę w Boga i człowieka odnajduję w tym brutalnym, a tak ważnym wciąganiu mnie do wagonu przez żołnierzy niemieckich, w czasie mojej ucieczki. I w tym niemym salutowaniu oficera SS na stacji w Poznaniu.

W 1946 r. wyszłam za mąż w Illeschein i wróciłam z mężem do Polski. Życie moje przeszło obok mnie, gdy inni się cieszyli przeszłą gehenną. Żyję z dala od rodziny, od Warszawy, w nierealnym świecie marzeń, cierpiąc prawdziwie. Jestem samotna i smutna, jak skrzydła Aniołów. Żyję wśród zgliszcz, jakby przez moje życie przeszły armie nieprzyjaciół. Mam świadomość straszego życia. Czasem patrzę w lustro i myślę: jestem przecież postacią ludzką, więc skąd ta twarz smutna i pełna rezygnacji? Pokonał mnie czas i wojna, więzienia, niewola, praca, głód, poniewierka i cierpienia. Po pięćdziesięciu latach otrzymałam małe mieszkanie. Mój azyl. Pełny komfort ubogiej egzystencji. Dopracowałam do emerytury. Od kilku miesięcy otrzymuję dodatek do emerytury – „Kombatancki”. Nie łatwo mi było wydobyć go od władz, ale w końcu się udało.

Żyję, bo mimo wszystko kocham życie, chociaż ono nigdy nie kochało mnie!!!

Od redakcji

Od naszego Kolegi Kazimierza Danilewicza ps. „Krzak” otrzymaliśmy list następującej treści:

Czy warto o tym pisać?

Kresy – Wołyń od wieków były ostoją moich dziadków (po mieczu z pod znaku Ostoja).

Antoni z Emilią Danilewicz oraz Jan z Anną Liszkiewicz mieli jedenaścioro dzieci i dwadzieścia czworo wnuków. Gdy przyszedł czas zmagania w II wojnie światowej, udział w niej dobrowolnie wzięły 22 osoby z tej rodziny. Bohatersko zginęło osiem. Ostatnio otrzymałem list od Irminy Gaczyńskiej, z domu Kłocińskiej, która zaraz po wojnie weszła do naszej rodziny. Irmina dopiero teraz podzieliła się swoimi wojennymi przeżyciami. Jak pisze – znając naszej rodziny losy nie chciała porównywać ze swoim losem – mniej tragicznym. Muszę jednak stwierdzić, że losy Irminy nie były łżejsze od przeżyć moich krewnych.

Dołączam fragment wspomnień pisanych przez Irminę Gaczyńską – systematycznie jak się okazało – od 1939 r. do dzisiaj, oraz zaświadczenie stwierdzające te fakty.

Kazimierz Danilewicz ps. „Krzak”

* * *

WYSTĄPIENIE PANI POSEŁ Gertrudy SZUMSKIEJ W SEJMIE RP w lipcu 2002 r.

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Ostatnio w Polsce nasila się bardzo groźne zjawisko oczerniania narodu polskiego oraz przemilczania niektórych faktów historycznych przez najwyższe władze polskie; traktuje się to jako tematy tabu. Przypomina to sytuację w Polsce komunistycznej i stosunek jej władz do sprawy Katynia. Mam tu na myśli stosunki między narodami polskim i ukraińskim a latach 1939-1947 oraz stosunki między narodami polskim i żydowskim w latach 1939-1941 na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej oraz w okresie PRL, szczególnie w latach 1944-1956.

Dzięki wielu publikacjom wiadomo powszechnie, że w latach 1939-1944 na Wołyniu i Kresach Południowo – Wschodnich zostało wymordowanych ponad 120 tys. Polaków, w tym ponad 100 księży katolickich, przez zbrodnicze oddziały z OUN-UPA. Mordy były okrutne i bestialskie. Świadkowie, którzy uszli mordercom, mordy te nazywają rzezią, do mordowania używano bowiem również narzędzi gospodarczych, takich jak: siekiery, widły, piły itp. Mordowano wszystkich – od niemowląt do osób starszych – tylko dlatego, że byli

Polakami. Ci, którzy ocalili, ze strachu przed mordami i pożogą opuszczali rodzinne domostwa przeważnie tak jak stali, zostawiając dorobek całego życia, i uciekali przeważnie nocą. W ten sposób teren ten opuściło ponad 0,5 mln Polaków. Według prawa międzynarodowego była to czystka etniczna, a nawet eksterminacja.

Niedawno, bo 11 lipca 2002 r. minęła 59 rocznica apogeum tych mordów, ale w tym dniu na ten temat nie było żadnych informacji w środkach masowego przekazu, nie było również żadnych wypowiedzi najwyższych władz państwowych, a wydawało się, że po 1989 r. nie będzie tematów tabu. Trzeba nie czuć i nie myśleć po polsku, aby o tak okrutnych mordach milczeć.

Również tematem przemilczanym są mordy OUN-UPA na ludności polskiej na terenach południowo – wschodnich obecnej Polski w latach 1944-1947. Mimo powstania państwa polskiego i zakończenia II wojny światowej w 1945 r. mordy te nie ustały, lecz przeciwnie – nasiliły się. OUN-UPA swą zbrodniczą działalność przeniosła z Wołynia i Małopolski Wschodniej na te tereny, na których znalazła oparcie wśród znacznej części mieszkającej tu ludności ukraińskiej. To już była rebelia przeciw państwu polskiemu. Mordowano cywilną ludność polską, palono wsie polskie, niszczone obiekty ogólnego użytku, jak mosty, wiadukty kolejowe, napadano na żołnierzy Wojska Polskiego, na posterunki MO. To był atak ukraińskich skrajnych nacjonalistów na część naszego terytorium państwowego z zamiarem oderwania tych terenów od Polski. Walki trwały prawie 2 lata, ginęli ludzie po obu stronach. Po to by łatwiej zlikwidować tę rebelię, ówczesne władze polskie postanowiły powołać specjalną grupę operacyjną pod nazwą „Wisła”, której głównym zadaniem docelowym było zlikwidowanie zbrojnych oddziałów UPA. Związane to było z koniecznością przesiedlenia z tych terenów ludności ukraińskiej, która stanowiła naturalne zaplecze ludzkie, żywnościowe i materiałowe dla oddziałów OUN-UPA. Akcja „Wisła” trwała od 28 kwietnia do 31 lipca 1947 r. i zakończyła się pomyślnie. Oddziały UPA zostały zlikwidowane, co było głównym celem tej akcji. Przesiedlenie ludności ukraińskiej było etapem pomocniczym, a nie celem samym w sobie oderwanym od rzeczywistości. Akcję „Wisła” należy więc rozpatrywać łącznie z mordami na Kresach Południowo – Wschodnich terenach południowo – wschodnich obecnej Polski,

ponieważ ściśle się ze sobą wiążą. Należy podkreślić, że przesiedleni Ukraińcy mogli zabrać ze sobą swój inwentarz martwy i żywy. Otrzymali transport, czego nie mieli Polacy uciekający z Wołynia. Na ziemiach odzyskanych, na które zostali przesiedleni otrzymali przeważnie lepsze gospodarstwa od tych, które posiadali. Przez władze polskie traktowani byli na równi z Polakami. Natomiast Ukraińców, którym udowodniono uczestnictwo w UPA lub współpracę, umieszczono w obozie w Jaworznie. Według Głównej Komisji Badania Zbrodni Przeciw Narodowi Polskiemu 90% Ukraińców było tam umieszczonych pod takim zarzutem. Z powyższego wyraźnie wynika, że gdyby nie było rebelii ukraińskiej przeciw Polsce w latach 1944-1947, nie byłoby akcji „Wisła” i przesiedlenia ludności ukraińskiej na Ziemię Odzyskane.

Pomimo tych oczywistych faktów pan prezydent Kwaśniewski w liście do uczestników konferencji w Krasieczynie, odbytej w dniach 17-18 kwietnia br., poświęconej 55 rocznicy akcji „Wisła”, żąda jej potępienia oraz pisze, że akcja „Wisła” stała się wręcz symbolem wszystkich niegodziwości wyrządzonych przez ówczesne władze komunistycznej Polski ludności ukraińskiej w Polsce. Jest to wypowiedź obraźliwa dla ofiar zbrodniczej działalności UPA oraz dla Polaków żyjących. Pan Prezydent nie wspomina słowem o mordach na Polakach dokonanych przez OUN-UPA na Wołyniu i kresach południowo – wschodnich Polski ani o rebeliach ukraińskich przeciw państwu polskiemu. Należy zapytać” Czyim jest prezydentem?

Zaraz kończę, przepraszam, jeszcze ostatnie zdanie.

Wicemarszałek Janusz Wojciechowski:

Tak, proszę bardzo.

Posel Gertruda Szumska:

Współpracę i przyjaźń między narodami budować można jedynie na prawdzie i sprawiedliwości, a nie na kłamstwie i przemilczeniach. dziękuję, panie marszałku (Oklaski).

*Pani Posel Gertruda Szumska jest posłem
Ligi Polskich Rodzin w Gdańsku.*

* * *

**OŚWIADCZENIE PANI SENATOR Marii BERNY
W SENACIE RP (3.10.2002 r.)**

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, pan Aleksander Kwaśniewski, wyraził zgodę na objęcie swoim patronatem obchodów sześćdziesiątej rocznicy znamiennych wydarzeń, które miały miejsce na Wołyniu. Z rąk bojowników Ukraińskiej Powstańczej Armii zginęła ogromna rzesza obywateli II Rzeczypospolitej. Szacunkowe dane mówią o około dwustu tysiącach Polaków. Dokładniejsze dane dotyczą Żydów – około siedemdziesięciu tysięcy, i Ukraińców – około trzydziestu tysięcy. Ale pozostawmy liczby, bowiem zbyt wiele wysiłku wkładamy ostatnio w procesy liczenia ofiar, a zbyt mało go poświęcamy ocenom przyczyn merytorycznych i ideologicznych tych wydarzeń.

Przez wiele lat, by nie urazić młodego państwa ukraińskiego, nie nazywaliśmy tych wydarzeń po imieniu. Wstydliwie przemilczaliśmy, że była to czystka etniczna, że było to ludobójstwo inspirowane nacjonalistyczną, szowinistyczną ideologią. Nowa Ukraina powstała nie na skutek tamtych wydarzeń, ale na skutek procesów dziejowych burzących układ jałtański, na skutek rozpadu Związku Radzieckiego, a także wykazywanych przez stronę polską przyjaznych gestów wobec państwa i narodu ukraińskiego. Nikt tego nie chce zmieniać, jednakże nikomu nie wolno też zapominać o tysiącach ofiar nacjonalistycznej ideologii. To ona, właśnie ta nacjonalistyczna nienawiść odradzająca się w różnych miejscach współczesnego świata, stanowi dla nas nieustanne zagrożenie.

Pragnę w tym miejscu wyrazić słowa podziękowania panu, Panie Prezydencie, za patronowanie obchodom, w których chcemy uczcić pamięć tych, którzy zginęli za to jedynie, że byli Polakami, za to, że buli Żydami i za to, że mordów tych nie akceptowali.

Jestem głęboko przekonana, że obchody te nie staną się zarzewiem nowych nienawiści. Proszę pana prezydenta, by doprowadził do rychłego powołania komitetu obchodów tej ważnej rocznicy, gdyż ze względu na niejednolitość środowisk kresowych niezbędne

jest powołanie komitetu państwowego, który winien jak najszybciej opracować program obchodów.

Sądzę, że nie będzie przesadą, jeśli powiem, że jest w Polsce około dwóch milionów obywateli, którzy osobiście lub na skutek więzów rodzinnych czy przyjacielskich są związani racjonalnie i emocjonalnie z ofiarami tamtych mordów. Wszyscy dziś pokładamy w panu nadzieję, że ich pamięć zostanie godnie uczczona. Dziękuję. (Oklaski).

* * *

Dr Zofia Struś-Kędzierawska

PROFESOR JAN ŁABĘDZKI – WIELKI PRZYJACIEL MŁODZIEŻY, WSPANIAŁY PEDAGOG



Prof. Jana Łabędzkiego poznałam w 1962 r. podczas egzaminu wstępnego do Liceum Pedagogicznego w Chełmie. W czasie nauki w Liceum był moim nauczycielem chemii. To On zaszczerpił we mnie zamiłowanie do tego przedmiotu, czego wyrazem była kontynuacja nauki w Studium Nauczycielskim o kierunku biologia z chemią. Z przedmiotem tym nie miałam kłopotów na studiach magisterskich, a potem doktoranckich na UMCS w Lublinie.

Dzięki prof. Janowi Łabędzkiemu zostałam zatrudniona w Liceum Medycznym w Chełmie i przez 15 lat uczyłam tam chemii. Profesora wspominam jako człowieka bardzo zrównoważonego, dystygowanego, obdarzonego ogromną kulturą osobistą i mimo pozornie surowego wyglądu, budzącego w nas, Jego uczniach, respekt, miał w sobie dużo ciepła. Był bardzo wymagający, ale robił to taktownie, a gdy wyczuwał treść i brak wiedzy u odpytywanego ucznia, mobilizował nas powiedzeniem „mów do mnie jeszcze”. Był bardzo cierpliwy i doskonale rozumiał psychikę ucznia. Przekazał nam nie tylko wiedzę, ale przede wszystkim te cechy osobowości, które powinien posiadać dobry nauczyciel.

Profesor Jan Łabędzki był również żołnierzem, a czas wojny i okupacji to działalność konspiracyjna w szeregach Armii Krajowej.

Za pracę zawodową i działalność w czasie wojny Profesor otrzymał szereg odznaczeń i wyróżnień, z których szczególnie cenił: Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal Komisji Edukacji Narodowej.

Przez wiele lat utrzymywałam z Profesorem i Jego rodziną prywatne kontakty. Na życzliwą radę i pomoc Profesora mogłam zawsze liczyć, nigdy nie pozostał obojętny wobec spraw swoich uczniów. W 1998 r. na Zjeździe Absolwentów Liceum Medycznego siedziałam obok Profesora, a Jego wzruszenie i łzy były bardzo widoczne. Ostatni raz widziałam Profesora na pogrzebie innego Wielkiego Człowieka, wspaniałego prof. Mieczysława Czarnockiego. Już wtedy nieuleczalna choroba Profesora była bardzo widoczna. Jego pracowite i szlachetne życie zakończyło się w dniu 29 czerwca 2000 r. Spoczął na cmentarzu przy ul. Lwowskiej.

Dziękuję Ci Panie Profesorze za to, że byłeś z nami. Pozostaniesz na zawsze w naszej życzliwej pamięci.

* * *

Powyższy tekst - będący pięknym i wzruszającym oddaniem hołdu wspaniałemu Profesorowi przez Jego uczennicę - zaczerpnąłem z okolicznościowej jednodniówki, wydanej z okazji I Zjazdu Absolwentów Zakładu Kształcenia Nauczycieli w Chełmie w 2000 roku.

Ppor. mgr Jan Łabędzki, w okresie okupacji niemieckiej był żołnierzem Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej w obwodzie hrubieszowskim, w placówce konspiracyjnej w Dubience. Następnie został wcielony do Kompanii Przeprowowej 27 Wołyńskiej Dywizji AK, stacjonującej m.in. w Bindudze nad Bugiem, którą dowodził ppor. Stanisław Witamborski ps. „Mały”. Po rozwiązaniu Armii Krajowej został żołnierzem Stowarzyszenia „Wolność i Niezawisłość”. Po ujawnieniu się ukończył liceum i studia wyższe. Pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji: wychowawcy, pedagoga i dyrektora szkół chełmskich, a także radnego miasta. Jako człowiek ambitny, znakomity wychowawca młodzieży i wyjątkowo zdolny nauczyciel był postacią bardzo cenioną przez uczniów i ogólnie szanowaną w Chełmie.

Aktywnie współuczestniczył w zorganizowaniu w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku Środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej

Dywizji AK w Chełmie, pełniąc przez blisko 20 lat funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu tej organizacji kombatanckiej. Należał do najaktywniejszych w Środowisku Dywizyjnym, któremu poświęcił wiele cennego czasu i energii. Wśród zasług bojowych w latach zmagania o wolną i niepodległą Ojczyznę, a także na polu pedagogicznym i społecznym, godzi się wymienić działalność Profesora na rzecz ratowania śladów wielowiekowej obecności naszych rodaków na ziemi wołyńskiej. Z wielką też gorliwością wspierał misję ewangelizacyjną duchowieństwa rzymskokatolickiego na Wołyniu, a także uczestniczył w ratowaniu polskich cmentarzy i w odbudowie zniszczonych przez system sowiecki i zwyrodniały nacjonalizm ukraiński świątyń w tej części Kresów Wschodnich II RP.

W latach okupacji niemieckiej i sowieckiego zniewolenia był więźniem gestapo i Urzędu Bezpieczeństwa, co nie pozostało bez wpływu na stan Jego zdrowia w latach następnych.

Odszedł do Wieczności przed dwoma laty, w czerwcowy poranek, przygotowany na spotkanie z Bogiem Wszechmogącym. Po wielu, wprost trudnych do wyobrażenia przeżyciach w czasie wojny i okupacji dwóch wrogów oraz zmagania z przeciwnościami losu, spoczął w sąsiedztwie drogiego Mu Wołynia, na chełmskim cmentarzu parafialnym, wśród wielu oficerów i żołnierzy wspaniałej i niezwyklej Dywizji. Cześć Jego świetlanej pamięci.

Zenon Wira

* * *

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Podajemy nazwiska żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, samoobrony, konspiracji na Wołyniu, zmarłych w ostatnim okresie:

1. Kojder Tadeusz „Jaskółka” III/23 pp w Hrubieszowie
2. Figurski Kazimierz „Figura” III/23 pp w Białogardzie
3. Markowski Wacław „Orzech” S.Przebraże w Hrubieszowie
4. Markiewicz Klementyna „Kaśka” sanit. w Hrubieszowie
5. Markiewicz Czesław „Bez” I/23 pp w Hrubieszowie
6. Sommer Stanisław „Makina” komp. Warszaw. w Warszawie

7. Traczyński Karol „Brzoza” I/50 pp w Malborku
8. Sawicki Feliks „Szczęsny” konsp. Kowel w Warszawie
9. Kochański Wacław „Wiek” I/23 pp w Zgierzu
10. Skowroński Edward „Widmo” I/23 pp w Warszawie
11. Skalski Stanisław „Pacan” samoobr. Powrósł w Cycowie
12. Jałowicki Czesław „Kurek” żand. „Osnowa” w Chorzowie
13. Sinicki Florian „Florek” Przebraże w Pogorzelnach
14. Walczuk Tadeusz „Lipa” I/43 pp w Płocku
15. Sendeci Eugeniusz „Kruk” konsp. Kowel w Tyszowcach
16. Bernacki Czesław „Bór” II/500 pp w Michałowie
17. Malec Roman s. Jana „Sroka” III/50 pp w Koszalinie
18. Sosnowski Ryszard I/50 pp w Koszalinie
19. Gryciuk Stanisław „Olcha” I/43 pp w Sypniewie
20. Kanabaj Helena „Helka” samoobr. Stara Huta w Więcborku
21. Pietrzykowski Kazimierz „Mucha” I/24 pp w Brodnicy
22. Prokopczuk Władysław „Jodła” I/43 pp w Olsztynie
23. Chłopecki Marian „Żydek” Przebraże w Niemodlinie
24. Koszałka Jan „Zajac” bat. zborny w Modliborzycach
25. Moszczyński Czesław „Dzwonek” I/50 pp w Dubience
26. Kownacki Franciszek „Antek” Przebraże w Niemodlinie
27. Kozielski Wacław „Donak” konsp. Kiwerce w Katowicach
28. Wiejak Julian „Kozakiewicz” I/50 pp w Zabrze
29. Kędra Zbigniew „Ptak” I/50 pp w Babimoście
30. Biernacki Bolesław „Bolko” konsp. Kiwerce w Poznaniu
31. Trzebieniak Tadeusz „Orzeł” I/45 pp w Gliwicach
32. Cybulski Franciszek „Sosna” Przebraże w Malborku
33. Sikora Florian „Pudelko” komp. łączn. w Dreźnie
34. Mazurek Antoni „Żmija” I/23 pp w Jeżowicach
35. Karłowicz Leon „Rudz” II/50 pp w Pszczynie
36. Bugajewski Jan „Bambus” I/24 pp w Krakowie
37. Zimon Adolf „Arka” II/23 pp w Łodzi

* * *



Hrubieszów 03.02.2002 r.

I N F O R M A C J A

Informujemy naszych Czytelników, że od 2 lat w Hrubieszowie nastąpiła zmiana nazwy ulicy Samary na 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Zawiadomił nas o tym nasz Kolega Ryszard Kasprowicz (na fotografii).

Redakcja

* * *

Wydawnictwa książkowe SZŻ AK Okręgu Wołyń, znajdują się na księgarskich półkach i są do nabycia po niskich przystępnych cenach:

 Książka „**Przed Akcją Wisła był Wołyń**” wydanie drugie poprawione i uzupełnione str. 186. Jest pracą zbiorową pod redakcją prof. dr hab. Władysława Filara, zawiera materiały do studiów konfliktu polsko – ukraińskiego w II wojnie światowej ze szczególnym uwzględnieniem wydarzeń wołyńskich i działalności OUN-UPA na obszarze południowo-wschodniej Polski pojaltańskiej.

Książka ma dużą wartość poznawczą w dochodzeniu prawdy historycznej, ukazuje ścisły związek wydarzeń wołyńskich lat 1942-1944 z wydarzeniami w południowo-wschodniej Polsce. Zawiera fakty oparte na bogatej bazie dokumentów archiwalnych, pozwalające obiektywnie spojrzeć na przebieg wydarzeń w Polsce w latach 1944-1947. Cena 15 zł.

 **Eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu w drugiej wojnie światowej** aut. prof. Władysława Filara wyd. Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Wołyń – Warszawa 1999r. Cena 12 zł.

Książka składa się z dwóch części: dokumentów i materiałów dotyczących eksterminacji ludności polskiej oraz chronologii wydarzeń na Wołyniu. W pierwszej części autor przedstawił ponad 100 dokumentów polskich, niemieckich, rosyjskich i ukraińskich związanych z wydarzeniami na Wołyniu oraz podjął próbę formalnej analizy zebranych materiałów, a także ich oceny. W drugiej części, ważne dla analizy stosunków polsko – ukraińskich wydarzenia na Wołyniu przedstawione zostały w ujęciu chronologicznym. Pozwala to widzieć je we wzajemnym powiązaniu i uwarunkowaniu, jako ciąg pewnego procesu historycznego i oceniać je obiektywnie. Autor wyodrębnił cztery okresy wydarzeń wołyńskich: I okres (wrzesień 1939 – czerwiec 1941) obejmujący okupację sowiecką Wołynia; II okres (czerwiec 1941 – luty 1943) – początek okupacji niemieckiej Wołynia; III okres (luty 1943 – grudzień 1943) – rozwój oddziałów

zbrojnych OUN i nasilenie akcji antypolskich ze strony OUN – UPA; IV okres (1944 rok) – realizacja założeń operacji „Burza” na Wołyniu.

Liczne dokumenty archiwalne przedstawione w opracowaniu oraz przebieg wydarzeń na Wołyniu jednoznacznie obarczają stronę ukraińską za rozpoczęcie i dokonywanie masowych mordów ludności polskiej w celu pozbycia się jej z terenów Wołynia i Małopolski Wschodniej.

 **„Burza na Wołyniu”**, str. 286. Wyd. Rytm, Warszawa, prof. Władysława Filara. Książka stanowi studium historyczno – wojskowe obejmujące genezę i działania 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK (1943-1944), jednej z największych jednostek partyzanckich w kraju. Dywizja zapoczątkowała akcję „Burza” i najdłużej realizowała jej założenia na Wołyniu i Lubelszczyźnie, działając nieprzerwanie przez siedem miesięcy jako zwarty i zorganizowany związek taktyczny. Trzykrotnie okrążona przez przeważające siły wojsk niemieckich (lasy mosurskie, lasy szackie, lasy parczewskie) nie dała się zniszczyć, przebiła się z okrążenia i kontynuowała dalszą walkę, aż do podstępного rozbrojenia przez wojska sowieckie (25 lipca 1944 r.). Książka oparta na bogatym materiale źródłowym ukazuje niewymierny wysiłek żołnierzy 27 WDP AK, ich wolę walki o wolność Ojczyzny i stanowi ważny przyczynek do poznania dziejów polskiego ruchu niepodległościowego na Kresach Wschodnich w czasie II wojny światowej. Cena 12 zł.

 **Wojskowe i historyczne tradycje 27 WDP AK** - Czesława Piotrowskiego, str. 254. Opracowanie przedstawia historię 27 Dywizji Piechoty od jej powstania w 1920 r. do jej odtworzenia w akcji „Burza” pod nazwą 27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej wraz z wchodzącymi w skład dywizji pułkami. Cena 4 zł.

 **Armia Krajowa na Wołyniu**, str. 99 - Praca zbiorowa, przedstawiono w niej konspirację, samoobronę, akcję „Burza” na Wołyniu i 27 Wołyńską Dywizję Piechoty AK w operacji kowelskiej. Zawiera 5 mapek terenów działania 27 WDP AK. Cena 4 zł.

 **„Przez Wołyn, Polesie na Podlasie”**, str. 246, książka związana z historią Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Są to wspomnienia z lat 1943-1944 młodego, wówczas szesnastoletniego

chłopca z Huty Stepańskiej, na Wołyniu Czesława Piotrowskiego „Czesia”, uczestnika samoobrony rodzinnych stron, partyzanta akowca O.P. „Bomby”, „Wujka”, a później żołnierza I/45 pp. 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Wspomnienia są zweryfikowane, nie kolorowane, uzupełnione zbiorem rzetelnie, opracowanych załączników. Jest w pełni udokumentowaną pracą historyczną OP „Bomby”, „Wujka”, który już w składzie I/Bat. 45 pp. 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej wszedł do akcji „Burza” na Wołyniu, Polesiu i Lubelszczyźnie. Cena 20 zł.

 Książka **„Wołyński Życiorys”** aut. Bogusław Soboń, wyd. ŚZŻAK Okręg Wołyń, wydanie drugie uzupełnione i poszerzone, str. 167, cena 12 zł.

Jest to rodzaj życiorysu, obejmujący lata, przez autora spędzone na Wołyniu, z monograficznym omówieniem miejscowości w których przeżył dzieciństwo i wczesną młodość, czasy okupacji sowieckiej i niemieckiej, czasy zbrodni ukraińskich nacjonalistów w 1943 r. i zagładę Janowej Doliny, polskiego przemysłowego osiedla, oryginalnego, odmiennego od innych w sensie urbanistycznym i społecznym. W książce zamieszczono wiele zdjęć (dokumentalnych), mapki i szkic osiedla. Jest to także życiorys nieistniejącej „Wołyńskiej perły” Janowej Doliny, unicestwionej zbrodniczą ręką ukraińskiego nacjonalizmu wiosną 1943 r., która stała się grobowcem zamordowanych przeszło 600 mieszkańców bez wyjątku wieku i płci, często w ich domostwach żywcem spalonych. Osiedle zamieniono w wielkie cmentarzysko porośnięte półwiekowym dorodnym lasem. Miejsce to nie bez przeszkód, dopiero w 1998 r., zostało upamiętnione monumentalnym Pomnikiem Krzyżem, przez b. mieszkańców, ich rodzin i Wołyniaków.

 **„Pożoga”. Walki 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK** aut. Józefa Turowskiego, str. 596. Książka oparta o dokumenty, relacje i wspomnienia. Naukowo opracowana historia 27 WDP AK wraz z przypisami, zdjęciami i mapami w liczbie 75. Cena 17 zł.

 **Ideologia nacjonalizmu ukraińskiego według Dmytra Doncowa.** Praca doktorska Wiktora Poliszczuka omawiająca i obnażająca ideologię nacjonalizmu ukraińskiego pogłębiająca o nim wiedzę. Cena 10 zł.

 Książka aut. Janina Żmijewska – Maszkowska „Dzwoneczek – Jaga”. Sanitariuszki 27 WDP AK – str. 119, cena 20 zł.

 Wymienione wydawnictwa książkowe ŚZZ AK Okręgu Wołyn, znajdują się na księgarskich półkach i są do nabycia po niskich przystępnych cenach. Także można je nabyć w siedzibie Wołyńskiego Okręgu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie, przy ul. 11-Listopada 17/19, 03-446 Warszawa, w godz. 10-12 w każdą środę. Wysyłane mogą być drogą pocztową, po uprzednim wpłaceniu równowartości wydawnictwa plus koszt przesyłki na konto bankowe PKO III O/M Warszawa 10201039-104580-270-1-111. Na odwrocie przekazu należy wymienić tytuł książki i ile egzemplarzy się zamawia. Również wysyłane mogą być za zaliczeniem pocztowym.

* * *

CZYTELNIKU

- ***Prenumerujcie i czytajcie Wasze pismo –
piszcie do niego***
- ***Czy nie zapomniałeś na 2003 rok zaprenume-
rować swoje pismo - Biuletyn Informacyjny***
- ***Pośpiesz odnowić prenumeratę na 2003 rok***
- ***Prenumerata roczna 25 złotych***

Redakcja „Biuletynu Informacyjnego”

ul. 11 Listopada 17/19

03-446 WARSZAWA

Konto bankowe PKO III O/Warszawa

10201039-104580-270-1-111

00-867 WARSZAWA, ul. Chłodna 31

Podaje się do wiadomości, że Zarząd Okręgu Wołyńskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej otworzył własną stronę internetową: www.szzak-wolyn.pl, na której podawane są informacje o działalności Okręgu, aktualności, ogłoszenia, apele, a także opracowania historyczne dotyczące Wołynia oraz stosunków polsko – ukraińskich w latach drugiej wojny światowej.

Zarząd Okręgu

SPIS TREŚCI

1. 27 maja 2002 roku oddaliśmy hołd żołnierzom „Osnowy” – Leon Karłowicz	3
2. Wystąpienie wiceprzewodniczącego Rady Ochrony Walk i Męczeństwa Stanisława Mikke podczas uroczystości w dniu 27.05.2002 r.	7
3. Pielgrzymka nad Prypeć – Ryszard Siennicki „Ryś”	8
4. W szeregach 27 WDP AK (wspomnienia)	12
5. Cmentarz w Kupiczkowie na Wołyniu – Zenon Wira	33
6. Cmentarz katolicki w Bindudze na Wołyniu – Zenon Wira	35
7. Wołyniacy mają własną kaplicę w Kałkowie – Leon Karłowicz	39
8. Sanktuarium Bolesnej Królowej Polski – Stanisław Maślanka „Legenda”	42
9. Życie jak film. Moja wojna, ucieczka, więzienie i wyzwolenie – Irmina Gaczyńska	43
10. Wystąpienie Pani Poseł Gertrudy Szumskiej w Sejmie RP w lipcu 2002 r.	48
11. Oświadczenie Pani Senator Marii Berny w Senacie RP (3.10.2002 r.)	51
12. Profesor Jan Łabędzki – wielki przyjaciel młodzieży, wspaniały pedagog - Dr Zofia Struś-Kędzierawska	52
13. Z żałobnej karty	54
14. Informacje	56
15. Książki, wydawnictwa, opracowania	57
16. Strona internetowa Okręgu Wołyń ŚŻŻAK	61

* * *